Nr. 1. Warszawa, dnia 6 Stycznia 1894 r. (25 Grudnia 1893 r.). Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ROZRUCHY W SYCYLII.

Europa, przyzwyczajona do zamieszek, w których namiętności raz rozkielznane nie trzymają się żadnej granicy ani w nienawiści, ani w zemście, z pewnem zdziwieniem spogląda na rozruchy sycylijskie. Pomimo bowiem ich gwałtowności wyglądają one tak, jak gdyby chłodna rozwaga panowała nad rozpłomionemi uczuciami. Czytajmy bowiem doniesienia telegraficzne:

Z d. 28 grudnia. W krwawych zaburzeniach (w Lercara), gdzie zginęło czterech ludzi, *nie uczestniczyły* związki robotnicze. Tłum, otoczywszy wojsko, zaczął je razić kamieniami i bić kijami. Lud krzyczał: „*Niech żyje król!* Precz z podatkami!“ Zarządy stowarzyszeń robotniczych telegrafowały do Crispiego o pomoc. Odpowiedź jego rozlepiono na ulicach. W Valguarnera i Terrasini spalono gmachy publiczne.

Z d. 29 grudnia. Stowarzyszenia włościańskie wydały hasło: „Spokój, cierpliwość i prawo!“ W rozruchach nie przyjmują one żadnego udziału.

Z d. 30 grudnia. Wszystkie związki robotnicze i włościańskie przyrzekły rządowi pomoc w przywróceniu porządku. Mieszkańcy gminy Ravanusa udali się uzbrojeni do majątku księcia Trabia dla wycięcia całego zbioru ziela *liquiritiae*, stanowiącego główny dochód prowincyi (Caltanisetta) i zagrozili pożogą, jeżeli napotkają opór. W Balestrate mieszkańcy napadli na dom burmistrza, który się w nim zabarykadował.

Z d. 4 stycznia. Wysłano wojsko do Nezzojuso (?), gdyż bunt wzmógł się tam skutkiem przystąpienia do niego okolicznych włościan. W różnych punktach znowu wybuchły groźne zaburzenia. W wielu gminach złożono z urzędu władze miejscowe, podpalono gmachy publiczne, uwolniono więźniów i obrzucono kamieniami wojsko. W krwawych starciach zginęło już niemało osób, przytem mnóstwo jest rannych. Miejscowość Mazzara leży w gruzach. Tamże ludność spaliła sąd, dom podatkowy, urząd hypoteczny, młyn oraz zapasy banknotów. W Saloni spalono komorę celną. W Pietropercia oblano naftą i spalono domki celne, kasyno, dom gminny i kilka innych budynków.

Gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia, że telegraf polityczny często kłamie i gdybyśmy nie mieli wprawy w odsiewaniu z jego doniesień przybliżonej prawdy, logika zaplątałaby się w tych sprzecznych wiadomościach. Stowarzyszenia robotnicze i włościańskie mają być obce temu ruchowi, a nawet pomagają do stłumienia go, jednocześnie zaś chłopi palą gmachy i uczestniczą w napadach. Dalej jako główna przyczyna zaburzeń podawany jest niesprawiedliwy rozkład podatków a zarazem warstwy, najbardziej nim dotknięte, objawiają lojalizm. Pomimo wszakże tych sprzeczności, nietrudno odtworzyć sobie prawdziwe położenie rzeczy. Całe Włochy są już nie przeciążone, ale przygniecione podatkami, dla których przeciwwagi nie może wytworzyć naturalne ubóstwo kraju i które w znacznej części pochłania militaryzm. W tem przeciążeniu najbardziej zaś cierpi Sycylia, której opodatkowanie najniezbędniejszych środków życia dochodzi do potwornej miary. Samych opłat konsumcyjnych wnosi ona do skarbu państwa 35 milionów lirów. W niektórych gminach od funta mąki przypada 15 cent. Wyspa ta, najbardziej oddalona od ogniska władzy, a zatem najsłabiej ujęta w karby i pielęgnująca dotąd tradycye buntowniczości, musiała prędzej czy później upomnieć się o swą krzywdę, a uczyniła to w chwili, kiedy nad nią skutkiem ogólnego zubożenia zaczęła pastwić się nędza. Że w rozruchach najczynniejszy udział przyjęły męty społeczne, że w nich główną rolę odegrał ten pierwiastek, który zawsze gotów jest do podpalań, mordów i grabieży — to nie ulega żadnej wątpliwości. Ażeby jednak chłopstwo i robotnicy nie sympatyzowali z wybuchem, a nawet nie potęgowali go, temu niepodobna uwierzyć, gdyż byłaby to dziwna walka ekonomiczna bez uczestnictwa interesowanych. Działają oni w niej, ale bądź sami się zasłaniają, bądź rząd nie chce ich widzieć, a raczej wskazywać dla osłabienia faktu. Zrozumiał on jednak naturę zaburzeń i ich przyczyny, oprócz więc wysyłki wojsk zamierza zmniejszyć ciężary podatkowe za pomocą szeregu reform, do których musi śpiesznie przystąpić.

Zaznaczyliśmy na wstępie, że przebieg tej małej rewolucyi zdradza pewną powściągliwość. Rzeczywiście tłum, paląc gmachy publiczne i napadając urzędników, jednocześnie obnosi po ulicach portrety pary monarszej i wydaje na ich cześć okrzyki. Chce on widocznie przez to wyrazić, że nie wypowiada posłuszeństwa królowi, że nie ma do niego żadnej pretensyi, lecz oskarża o swą krzywdę jedynie niższe organy rządowe, które są sprawcami jego niedoli przez niesprawiedliwy rozkład podatków gminnych. Jakoż w kilku miejscach już usunięto kilku burmistrzów i innych urzędników, ktorzy stali się przedmiotem szczególnej nienawiści ogółu. To oczyszczenie maszyny administracyjnej z pewnością będzie dokonane jeszcze radykalniej po przywróceniu porządku, zwłaszcza że król podobno domaga się tego stanowczo. Wkrótce też ma wyjechać do Sycylii sam Crispi, ażeby obecnością swoją wpłynąć na uśmierzenie wzburzonych umysłów i zbadać na miejscu źródło wybuchu. Trudno wszakże spodziewać się, ażeby on wobec smutnego stanu finansów włoskich i nigdy nienasyconego głodu budżetu wojskowego, zdołał wymyśleć dla sycylijczyków jakąś trwalszą ulgę. Jest to sprawa, którą rozstrzyga konieczność,

a nie dobra wola. W najlepszym wypadku można wynaleźć jakiś kojący plaster lub uśmierzający gwałtowne bóle narkotyk. Sycylia musi płacić wysokie podatki, bo Włochy muszą utrzymywać liczne wojsko. Tu właśnie tkwi owa decydująca konieczność.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Odnajdywanie i wykręcanie gwiazd anarchistycznych we Francyi trwa dalej. Podobno dokonano 2000 kilkaset rewizyj u osób podejrzanych i zabrano „całe furgony“ materyałów wybuchowych i papierów kompromitujących, które świadczą o olbrzymim i szeroko rozgałęzionym spisku. Wszystkich obcych poddanych, zostających pod najsłabszym zarzutem uczestniczenia w ruchu anarchistycznym, wydalono po za granice Francyi. Mimo to codzień prawie znajdywane są bomby. Są to wszakże sztuki nowoprzybywających ochotników, czasem niedorzeczne figle urwisów, lubujących się w szerzeniu postrachu, a czasem nawet — jak słusznie twierdzi nasz korespondent paryski — niewinne pudełka i butelki, którym przesadna trwoga nadaje niszczącą siłę. Francya ściągnęła do siebie masę żywiołów burzycielskich i rozkładowych, więc rezultat jej połowów jest najobfitszy. Inne państwa, które mniej sprzyjały anarchizmowi, mniej mają z nimi do roboty, chociaż czynią również poszukiwania. A musi nacisk władz i opinii w tym kierunku być silny, skoro słynny geograf Elizeusz Reclus przerwał swe wykłady w uniwersytecie brukselskim po skompromitowaniu się jego brata (Pawła) w sprzysiężeniu anarchistycznem francuskiem.

Polityczny spisek czeski, którego nici zbiegały się w tajnem stowarzyszeniu „Omladiny“ i który niespodzianie ujawnił się w zabójstwie agenta policyjnego Mrwy, nie rysuje się jeszcze jasno ani w swej organizacyi, ani w dążnościach, ani w celach, gdyż zebrany w śledztwie materyał okryty jest dotychczas tajemnicą urzędową. Wiadomo tylko, że Mrwa był agentem prowokacyjnym, że jego zabójcy, Doleżal i Dragun, ukarali go śmiercią za robotę zdradziecką, że o swej zbrodni donieśli sekretarzowi klubu młodoczeskiego, że wogóle młodoczesi co najmniej byli wtajemniczeni w to przedsiewzięcie. Podobno obaj mordercy złożyli najzupełniej szczere zeznania.

Łatwo wyobrazić sobie, jakim gniewem zapłonęli włosi, gdy telegraf przyniósł im wiadomość, że sąd przysięgłych w Angouleme uniewinnił wszystkich sprawców słynnej rzezi w Aigues-Mortes. Ich więc polegli w tej barbarzyńskiej rozprawie rodacy nie zostali pomszczeni. Jakkolwiek najpoważniejsze dzienniki francuskie wyrażają — szczerą, czy nieszczerą — naganę dla sądu, który sprawiedliwość poświęcił namiętnościom politycznym, do rozterki między Włochami a Francyą przybył jeden więcej powód, jedno więcej wspomnienie, które na stosunki tych państw oddziaływać będzie drażniąco.

Zwycięztwo wojsk włoskich nad derwiszami pod Agordat (w Abisynii) byłoby w każdej innej chwili wielką dla Italii pociechą, ale nie w obecnej, gdy wypadki sycylijskie wytworzyły tak poważną troskę.

Partya konserwatywna w Niemczech, która sławiąc ciągle swą wierność dla tronu, natychmiast go podkopuje, ile razy on nie dogadza najsamolubniejszym jej interesom, puszcza ciągle w obieg pogłoskę, że stanowisko Capriviego, twórcy traktatów handlowych, jest zachwiane. Cesarz musi bardzo widocznymi objawami swej sympatyi dla kanclerza wypłaszać z dzienników tę kaczkę, która znowu zaczęła w nich pływać pod koniec zeszłego roku i znowu ustąpiła.

Jeżeli prawdą jest, że układ rusko-niemiecki w sprawie taryfy celnej nie może być przedstawiony parlamentowi wcześniej, niż w połowie lutego, to znaczyłoby, że on jeszcze dalekim jest od zupełnego porozumienia się stron.

Wybory do skupczyny w Serbii wypadły naturalnie z wielką korzyścią dla radykałów. Proces ministrów już się rozpoczął i nie daje im nadziei uniknięcia kary. Jeden z oskarżonych, gdy nie chciano wyłączyć z grona sędziów członka stronnego, zrzekł się obrony i opuścił salę posiedzeń.

W Kamerunie wybuchł bunt, który dotąd zaznaczył się zburzeniem kilku domów i faktoryj europejskich.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

E. Bedroe, *The Browning Cyclopedia*, London 1893.

Wiek Odrodzenia był czasem osobistości wybujałych, żądnych czynu, bohaterskich, dlatego też dramaty Shakespeare'a są pełne akcyi i ruchu. W naszem stuleciu, być może, a nawet prawdopodobnie, pod rozwojem myśli naukowej, całe natężenie życia ze wszystkimi jego przełomami skupiło się wewnątrz człowieka. Dramat coraz bardziej obiera sobie za teatr duszę ludzką, a jego formą staje się powoli — monolog. Może to śmierć teatru, ale tak jest. Przypomnijmy tylko, że jedna z pierwszych tragedyi nowożytnych, *Faust*, nadzwyczaj się zbliża do monologu: wszak Faust i Mefistofeles to tylko dwie strony duchowe autora, które on uplastycznił w dwu odrębnych osobistościach, co jest artystycznie usprawiedliwione, psychologicznie wszakże — absolutnym fałszem. Gdyby Goethe chciał przedstawić tragedyę swej duszy w jej rzeczywistym przebiegu, mielibyśmy jeden olbrzymi monolog, który zresztą wcale z tego powodu nie przestawałby być dramatycznym. Ten krok w rozwoju sztuki był do zrobienia i zrobiony został przez Browninga. Cały interes jego dramatów skupia się na powolnym rozwoju uczuć i myśli bohaterów. Mamy tu właściwie tylko dramatyczne monologi, czyli poematy, jak je sam autor nazywa. Starcia tragiczne odbywają się tylko w duszy osób działających, fakty zewnętrzne grają bardzo nieznaczną rolę: autor albo ich wcale nie opisuje, uważając za znane czytelnikowi skądinąd, albo też tylko o nich zlekka napomyka, pozostawiając wolność domysłom. Jest to metoda zupełnie słuszna — wrażenie artystyczne powinno być wytworem wspólnym autora i czytelnika — ale doprowadzona do tego stopnia, gdy styl staje się już „orakularnym“ może ona być udatną tylko w ręku takiego geniusza, jak Goethe. Muza Browninga także unika wielkich gościńców pospolitości, ale, niestety, nie można powiedzieć, aby ją kręte

---

1)

„PRZY TOBIE.“

„Ja będę przy tobie.“

Powiedział stanowczo, bez cienia wątpliwości. Dlaczegóż więc nie przychodzi? Patrzył na nią przenikliwym, upartym, nawskroś widzącym wzrokiem, który dobywał się z samych głębin duszy, paląc, jak żar. To wejrzenie było już „stamtąd“; już on sam cały był „tam,“ nie mógł zatem majaczyć, jak pierwej, nawpół gorączkowo — czemuż więc nie przychodzi?

Oto już tydzień — nie, dziesięć dni — jak go tak bezustannie wyczekuje. Każde skrzypnięcie drzwi przyprawia ją o dreszcze, każde, chociażby najcichsze, westchnienie matki każe jej odwrócić głowę. Widzi, jak chwilami pies — stary jego ulubiony pies — nastawia uszy, podnosi pysk i bystro patrzy w okno, we drzwi, w plamy słońca odbite na ścianie. On także czeka. Goni za jego wzrokiem, wpatruje się, wsłuchuje — lecz zawsze nic i nikogo. Nocami czuwa do pierwszej, otulona w szalu, wciśnięta w wielki fotel—jego fotel, przed jego biurkiem; naokoło cisza; nie słychać nawet gwaru oddalonego miasta; wszyscy śpią w domu, nawet Roland, skręcony u nóg łóżka, wzdycha przez sen. Wsłuchuje się i czeka. Daremnie! Gdyby chociaż jedno tchnienie wiatru, jedno złudne tchnienie, które przeniknęłoby dreszczem spodziewania! Gasi lampę — może w ciemności? Czytała niegdyś o halucynacyach spirytystów; zaczyna się to jasną, niewyraźną i bezkształtną plamą, nieuchwytną i mkliwą, jak myśl. Wpatruje się w ciemność z natężeniem. Mignęło coś? Nie — to może tylko złudzenie. Otwiera szerzej oczy. Jakieś światło, jak najwęższa nitka błyskawicy, szybsze od wszelkich błyskawic, przemknęło. Lecz to nie przed nią, nie w tej czarnej, obejmującej ją zewsząd pustej czeluści — błysło to raczej w niej samej, w jej mózgu. Wpija się oczami i słyszy jednocześnie, jak ta przerażająca cisza szumi jej w uszach. Tak gniecie coś piersi!

Ach, oto! Nareszcie ta jasna, bezkształtna plama... Jak serce bije! Gotowa wybuchnąć płaczem, wyciągnąć ręce i wołać z całych piersi na całą tę głuchą, zmartwiałą noc. Lecz zesztywniała siedzi nieruchomo, z rękami mocno, mocno zaciśniętemi na piersiach. Oddech zastygł — czeka. I oto plama rozpływa się w ciemność, rozpływa się — już rozpłynęła... I nic, i nikogo! Ta wieczna, ta niezmącona, okrutna próżnia!

Nad ranem zmęczona ciągnie się na łóżko; często nie czuje dość sił, aby zrzucić z siebie suknie. Wpada w jakieś zapomnienie — niby sen, niby letarg — a kiedy się zbudzi, pyta samą siebie, co z nią było, gdzie była? — i po kilku chwilach mówi z bolesnym wyrzutem: więc nawet i nie we śnie?

Czasami — bywa to najczęściej przed południem, kiedy siada przed oknem z robotą, jak dawniej, jak bardzo dawno, gdy jeszcze był zdrów i oczekiwała jego przyjścia z miasta — otóż kiedy tak siedzi i nizko pochyli głowę nad kanwą i nic, nic zgoła, co jest wkoło niej, nie widzi — zdaje się jej, że słyszy znajome stąpanie na chodniku. Tak, wyraźne stąpanie, również szybkie i lekkie, jak zawsze było. Ozwał się blok u furtki; żwir dziedzińca zaskrzypiał pod nogami. Coraz wyraźniej, coraz szybciej. Na dole drzwi się otworzyły szerokiem, znanem pchnięciem. Oto już na wschodach... Tak, tym razem się nie myli. Za chwilę tu będzie. Przejdzie pokój paru

i nieznane ścieżki do celu doprowadziły. Z pod mgieł, oparów i dymów, któremi lubi otaczać owe pomysły, płomień geniuszu rzadko bucha, jakkolwiek bardzo często oddzielne iskry piękna spostrzedz można.

Browning jest psychologiem idealistą: przedstawia ludzi nie takimi, jak oni rzeczywiście istnieją, lecz jakimi by być mogli. Jest to zresztą metoda nie do pogardzenia, jeżeli zważymy, iż używali jej tacy mistrze, jak Stendhal i Dostojewski. I u nich psychologia była nie ścisłem spostrzeganiem, lecz „geometryą duszy,“ to jest sprowadzała się wciąż do następującego zadania: jeżeli pewien określony aparat duchowy postawimy w danych warunkach zewnętrznych, jakie otrzymamy nastroje, uczucia i myśli? Zadanie to rozstrzygali na podstawie samoanalizy. Typy Dostojewskiego, jak to sam często przyznaje, nie są realne, lecz tylko hypotetyczne. Można odróżnić odrazu psychologa idealistę od realisty po wyobraźni ich bohaterów. U pierwszych bohaterowie ci posiadają zawsze wyobraźnię swego autora, pomimo różnic w uczuciach i myślach, jakie przedstawiać mogą. Browning udziela swoim swą własną wyobraźnię. Wszyscy oni wyrażają się nieodmiennie językiem pytyjskim i mają zawsze ten sam koloryt duchowy, a mianowicie Browningowski. Zauważmy nareszcie, iż autor ten nie jest psychologiem-dyletantem, który kontentuje się sztuką dla sztuki: jego pracy przyświecają wciąż ideały moralno-religijne i filozoficzne. A mianowicie, jest to zapamiętały optymista, który podziwia wielkość Boga i jego mądrość nie tylko w dobrem, ale i w złem. Uwielbianie złego często napotykać można u poetów, ale po największej części dla powodów czysto artystycznych. Podziwy Browninga opierają się natomiast na podstawach religijno-moralnych. Zło jest gruntem, na którym dobro wyrasta, koniecznym warunkiem „wyższej prawdy,“ jaką człowiek wrzekomo w duszy nosi, niezbędną częścią składową w ogólnej harmonii świata. Jest to swego rodzaju panteizm, ale najlichszego gatunku, gdyż zupełnie banalny. Browning w retorcie swego umysłu przerobił filozofię Shelleya, za ucznia którego siebie uważał; sadzi się on zarazem na olimpijski spokój i pogardę Goethego, ale pióro jego stanowczo nie pochodzi ze skrzydeł tych orłów. Pogoda Browninga jest raczej pogodą członka angielskiego towarzystwa biblijnego:

„God's in his Heaven, all right with the world“ — taką jest ogólna formuła jego filozofii.

Rezultaty, zdobyte za pomocą powyższych metod i poglądów, są nader pouczające. Carlyle pisał niegdyś, iż po kilkakrotnem i uważnem odczytywaniu słynnego dramatu Browningowskiego, „Sordello,“ nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co ten tytuł ma oznaczać, imię człowieka, miasta, czy też książki. Długie badania wielbicieli autora udowodniły nareszcie, iż jest to imię człowieka, bohatera, trubadura. Akcya rozwija się śród skomplikowanej walki gwelfów i gibelinów, którą trzeba dobrze znać, aby zrozumieć psychplogię osób działających. Zauważmy, iż wszystkie intencye Browninga dotychczas wykryte nie zostały; sam autor zresztą przyznał, iż obrał przedmiot zbyt powikłany i nienadający się do dramatu „introspektywnego.“ W dalszym więc ciągu swej twórczości był zmuszony wybierać fakty bardziej proste i zrozumiałe. Tak np. „The Ring and the Book“ jest przełożeniem na język dramatycznych monologów wypadku zapożyczonego ze starej kroniki florentyńskiej, gdzie opowiedziane jest zabójstwo przez starego męża młodej, lecz niewinnej żony i kara, która go za to spotkała. Poemat składa się z 12 ksiąg i 21 tys. wierszy. Każda księga przedstawia psychologię jednego z uczestników tej sprawy kryminalnej: ofiary, zabójcy, świadków, sędziów itd. Wszystko razem wzięte jest dość subtelną, acz nudną kazuistyką. Takąż samą prostotą treści odznacza się inny dramat, „Fifine at the Fair,“ na którym dłużej się zastanowimy, gdyż zawiera „oryginalne“ poglądy Browninga na Don Juana.

Jest to typ oddawna w sztuce ustanowiony. Moralnie jest to potwór, psychologicznie wszakże przedstawia on cały szereg pierwszorzędnych zdolności: potężną wyobraźnię — są ludzie, jak Shelley, którym się zdaje, iż znali w poprzedniem jakiemś życiu Antygonę, inni marzą o Helenie, o istotnej Helenie, tej, którą synowie Priama podziwiali, którą następnie Goethe otoczył złotym obłokiem marzenia i ciszy greckiej, dojrzałą dla głębokich namiętności, niezłomną energię i znajomość serca ludzkiego, dowodzącą umysłu niepospolitego. Don Juan posiada nareszcie ten czar tajemniczy i osobisty, którego nazwa magnetyzmu bynajmniej nie wyjaśnia. Pogoń za ideałem doskonałości, którego żadna z napotkanych kobiet nie urzeczywistnia, każe przypuszczać niepokój duchowy, zdradzający ustrój wyższego porządku. Są to wszystko władze, które u innych osób i inaczej skierowane, często służą do wstrząsania światów. Napoleon, prowadzący ze spokojem setki tysięcy osób na rzeź, bez zgryzot i bez żalów, wzbudza wprost mistyczne dreszcze w niezbadanych odmętach duszy ludzkiej, tam, gdzie zwykle gnieżdżą się potwory. Toż samo fatalne piękno zła otacza swą aureolą Don Juana. Jest to ten sam urok, który wąż wywiera na ptaka, a kot na mysz, gdy czyhają na swe ofiary. On zaś ma pewno rozkosz upioru, gdy czuje w swych łapach młodą duszę i wdycha żarłocznie pierwsze wstydliwe zapachy fiołka lub rozkosze królewskie rozwiniętej róży.

Taką jest odwieczna, ustanowiona psychologia Don Juana. Nie ma ona nic wspólnego z pospolitem lowelasostwem, ani nawet z Don Juanem Byrona, w którym wszystkie rysy demoniczne zatarte zostały, na pierwszym natomiast planie znajduje się nieprzebierająca w środkach żądza użycia, dość ordynarna, przypominająca często rodzaj zwykłego utrzymańca. Raczej należy tu Manfred, napróżno szukający duszy marzycielskiej i namiętnej, któraby umiała odpieczętować jego własną; napróżno szuka jej w głębiach natury i samotni alpejskiej, tej duszy siostrzanej, tajemniczej Astarte; znajduje ją nareszcie w królestwie podziemnem Arimana. Widmo czułe i bolesne zjawia się na chwilę, aby zniknąć w westchnieniu. Molierowski Don Juan typu specyalnego nie przedstawia. Próbę wznowienia go znajdujemy w utworze zupełnie współczesnym Richepina „l'Aimé“ (1893), gdzie demoniczne cechy bohatera uważane są przez autora za dostateczne dla wzbudzenia kultu religijnego. Richepin pozbawił Don Juana zwykłych świadomych sił przebiegłości i okrucieństwa, uczynił zeń natomiast potęgę zupełnie ślepą, wzbudzającą w kobietach szał religijny i zapładniającą je wszystkie bez wyjątku i różnicy. Mania mistyczna donjuanizmu ogarnia tu całe koła i dochodzi do najwyższego spotęgowania, do szaleństwa w apostole nowej wiary, Fourgissie, jest otoczona oparami występku i zbrodni i oddana została z wielkim talentem. Ale ten Don Juan wychodzi z ram typu realnego.

Oryginalny także pogląd znajdujemy u Browninga. Don Juan przechadza się z żoną swą Elwirą po jarmarku i wykłada jej teoryę miłości. On znalazł na ziemi swój ideał bezwzględny — jest nim Elwira. Ale duszy ludzkiej nie są dostępne ani absolutne światło, ani zupełne ciemności: i jedno i drugie muszą być obecne, aby oko

---

krokami i drogie usta spoczną lekko na jej włosach — jak niegdyś. Igła zatrzymała się nad kanwą, boi się uczynić najmniejsze poruszenie, nie śmie odetchnąć. Idzie, musi nadejść.

Ogarnął ją lęk zbliżającej się nieświadomości. Nie śmie odwrócić głowy, choć serce wyrywa się ku tym drzwiom, ku spotkaniu. Jakim się zjawi? Może jak upiór Grottgera stoi jasnawym, niewyraźnym, bladym cieniem — wbity u progu, na drzwiach rozpostarty... I oczy ma takie zamknięte, i rękę na piersi...

Ach, musi go zobaczyć! Odwraca szybko głowę i rozszerzone płonące oczy wbija we drzwi.

Nic i nikogo! Ta wieczna, ta niezmącona a okrutna, a zimna próżnia!

A jednak mówił stanowczo: „ja będę przy tobie!“ W wychudłych, gorących, lekko wilgotnych palcach trzymał jej rękę i ściskał zlekka. „Ja będę przy tobie.“ Czemuż więc nie przychodzi? Choćby na jedną chwilę, choćby w tchnieniu jednem, byle raz, ach Boże, raz jeszcze — tu blizko, przy sobie...

Czy już jej nie rozumie? Czyż nawet łkania jej nie słyszy?

Zdarzyło mu się nieraz podczas tych ostatnich piekielnych — drogich — tygodni gderać ją za opóźnione, jak mu się zdawało, lekarstwo, za niedość wygodne ułożenie poduszek. „Umyślnie mi to robisz“ — skarżył się głosem rozkapryszonego dziecka i patrzał na nią. A gdy spostrzegł, że mimo uśmiechu oczy jej szkliły się wstrzymywanemi łzami — porywał jej ręce, tulił je do piersi, do ust spalonych i szeptał tak przybity, tak znękany: „nędznik jestem, nędznik...“ Ten szept zgnębienia i najgłębszej czułości odbierał jej wszelką moc. Upadała na łóżko, głowę mu kładła na piersi i łkała jak szalona, jak zatracona.

Czemuż nie przyjdzie? Choćby na taką jedną chwilę — na tę chwilę niewysłowionej boleści i uczucia?

„Pamiętaj, ja będę przy tobie.“

Przez cały tydzień chodziła codzień na cmentarz. Rano nosiła kwiaty, wieczorem o zmroku wymykała się z domu ukradkiem, aby ją krewni nie zatrzymali i biegła na mogiły. Prosiła, aby go położono pod starą szumiącą brzozą. Latem liście pachną i tak zcicha, tak słodko szemrzą, w jesieni i zimą jakby skrzydłami długiemi gałęziami ochraniać będą przed burzą. Siadała pod brzozą, tuż, tuż przy mogile i dumała. Nić za nicią tkała na nowo cały swój, na wieki już zaginiony poemat lat kilku; wszystkie jasne wspomnienia — o ciemnych nie pamiętała — jedne po drugich wstawały, płynęły ku niej, pachniały — jak kwiaty, które umierając wonieją najsilniej.

I wszystko przeszło, i nic już nie wróci...

Patrzyła na żółty piasek mogiły; oto już gdzieniegdzie młode źdźbła wyskakują; na jednem z nich kołysze się wieczorem ćma biała. Życie nowe poczęło się tu na tym grobie! Po przez długie powłóczyste gałązki brzozowe kilka gwiazd zamigotało u góry — to wieczność patrzy niewzruszonemi oczyma. A tam, pod tym piaskiem? Taki był cichy, poważny, uśpiony. Gdyby tak odkopać i spojrzeć? Raz jeden...

Cofnęła się; co za myśl szalona!

Gdzież ty jesteś? O Boże, Boże! Wszakżeś powiedział: „będę przy tobie.“ Bo jeśli, jak każą wierzyć, uleciał w wyżyny i spadł na łono jakiegoś bóstwa, rozpłyniony w jakieś światłości — to cóż jej z tego? Stokroć jest dalszym, niż to — co tu, pod ziemią. Czyżby tylko jej pozostała ta garstka w głębi ziemi zgnilizny?

Zdjęła ją rozpacz taka bez granic, taka wyrzutu pełna, że nie ucałowawszy nawet piasku mogilnego, odeszła. Nieprawda, to nie jest on! Nie chcę tego, nie mogę... Wyszła z cmentarza i oto trzeci dzień już tam nie chodzi. Matka oczami niespokojnemi

nasze mogło je odzóżniać. Don Juan praktycznie objaśnia ten pogląd, zalecając się do tancerki jarmarcznej, Fifiny, gdyż tylko na tle takich ulotnych miłostek jego wielka miłość dla Elwiry może dojść do poznania samej siebie. Kocha żonę, ale dla tego właśnie powinien się uganiać za innemi kobietami. Pod sofistyką poetyczną autora, który nie chce stawiać kropek nad *i*, kryje się istotna teorya poligamii. W tem znaczeniu Don Juanem jest mniej więcej każdy mężczyzna, gdyż natura, niestety, nie zrobiła człowieka monogamistą.

Taki pogląd na Don Juana jest dziwnie banalny, ale w ustach Browninga jest on co najmniej dziwny, jeżeli zważymy iż słynny był z miłości romantycznej, którą tchnął ku żonie swej Elżbiecie Browning, znanej poetce. Ujrzawszy się w r. 1846 po raz pierwszy, zaprzysięgli sobie miłość dozgonną. On widział wcielenie poezyi w bladej, opromienionej światłem wewnętrznem dziewczynie „pięknej, jak wiosna, głębokiej, jak ocean.“ Ona widziała w nim „wieszcza przyszłych pokoleń.“ Nie mogąc otrzymać zgody rodziców na związek, ożenili się tajemnie i schronili swą miłość w Italii, klasycznej krainie piękna. Pożycie ich miało być poematem, który trwał lat 15, pełnym harmonii i entuzyazmu. Dziwna rzecz, po śmierci żony on przeżył jeszcze lat 30, a nastrój zadowolony nie opuszczał go ani na chwilę aż do końca, co objaśniał — rozumie się — nadzieją, pewnością zobaczenia się tam z ukochaną. Ale zresztą nie miał nic przeciw temu, aby moment ten odwlec jaknajdłużej.

L. W.

LITETRATURA SZWEDZKA.

Ola Hansson: *Tolke og Seere* (Widzący i tłomaczący). Chrystyania 1894.

Dziesięć lat temu wyszedł w Kopenhadze zbiorek nowel, p. n. „Stare długi.“ Autor, znany jako dowcipny fejletonista, rozwinął w nim duży talent. Dziś pisze Gustaw Essmann melodramat *Magdalena*, gdzie — w chwili, kiedy zalotnicę policya ma zabrać na posterunek dla oględzin, zjawia się Chrystus i uwalnia ją od siepaczy.

Trzydziestoletni obecnie Herman Bang równocześnie ogłosił autobiograficzną powieść: *Pokolenia bez nadziei*. Wcielił w nią duszę spółczesnej młodzieży. Odtąd, chociaż sporo utworów napisał, w żadnym nie dorównał pierwszemu.“ Słowa te wyjęte z rozmyślań Oli Hanssona nad Bourgetem, odnieść należy, niestety, i do niego samego. Przynajmniej po części. Bo nowe dzieło: „Widzący i tłomaczący“ mimo zalet nie dorówna „Młodej Skandynawii.“ Tamta niosła pisarza niby łódka szybująca z rozpiętym żaglem po jeziorze, to posuwa się jak czółno z dębowego drzewa, okute żelazem, niezręcznie kierowane.

Już nie Skandynawię tu przecinamy, ową ziemię duńską pełną lasów bukowych, skowronków dzwoniących nad niwami, nie Norwegię, w której wichry mroźne świszczą, nie Szwecyę na południu czasami rodzącą pomarańcze, u kończyn północnych zlodowaciałą. Autor odbił od lądu ojczystego. Wędruje przez Europę i Amerykę, z łanów niemieckich, francuskich, ruskich i północno-amerykańskich wyrywa po jednym kłosie. Do czterech pisarzy dodaje malarza niemieckiego Böcklina, wreszcie zastanawia się nad książką, wydaną kilka lat temu w Niemczech, nad wyrazem kierunku antigalickiego: *Rembrandt jako wychowawca*.

Pięciu mężów, których sylwetki nakreślił, uważa za przedstawicieli epoki bieżącej. Edgar Poe rzuca wielki cień mistyki. W piersi Garszyna bije serce potężne, jak młot, spółczujące wszystkim, co cierpią. Stirner poprzedza Nietschego. Są to uosobienia młodzieży, dusze wielu z jej przedstawicieli wrzały walką altruizmu z egoizmem, niejedną ogarniał mistycyzm. Lecz dojrzały wreszcie, i oto jedne wyszły ze starć złamane, wsteczne: Bourget, inne uspokoiły się jak morze po burzy: pełne majestatu obrazy Böcklina.

Altruizm wykluczony już z wieku męskiego?

W roku 1832 jedno z pism literackich w Baltimorze ogłosiło konkurs na nowele i wiersz. Dwie nagrody zostały wyznaczone. Wśród rękopisów nadesłanych zwracał na siebie szczególną uwagę jeden. Pisany bardzo pięknie, zawierający poezyę i powiastkę otrzymał obie nagrody.

Otworzono kopertę, nazwisko brzmiało: Edgar Allan Poe. Członek komisyi Kennedy wysłał do uwieńczonego list zapraszający go na obiad. Nazajutrz otrzymał odpowiedź:

„Zaproszenie Pańskie wprawiło mię w kłopot niemały. Nie mogę przybyć z powodów jak najbardziej upokarzających. Brak mi ubrania. Zrozumiesz Pan, jak przykrem mi jest to wyznanie, ale zmusza mię do niego Jego uprzejmość.“

Kennedy odwiedziwszy Poego, znalazł go prawie umierającym z głodu.

Ten to walczący całe życie z nędzą błyszczy jako jedna z najświetniejszych gwiazd na firmamencie literatury amerykańskiej. Pisma, które zyskiwały jego spółpracownictwo, rosły z pięciuset egzemplarzy do siedmiu tysięcy. Jedno doszło nawet kroci. On magicznym pociągiem pióra wywołujący góry złota, pozostał zawsze biednym. Bo nerwowy i dumny nie naginał się do woli redaktorów, zrywał z wszystkimi, w nędzotach literackich zdobywał nowych nieprzyjaciół. Brak mu było wszelkiej „praktyczności.“ Nareszcie żona umarła na suchoty, a po niej padł Edgar na ulicach Baltimoru, konający z wycieńczenia. Po zgonie dawny przyjaciel Griswold wydał biografię, gdzie shańbił jego pamięć przedstawiając go jako koczownika i opoja, a w czterdzieści lat dopiero później otarł z błota szlachetną postać amerykanim Ingram, w umieszczonym na wstępie do zbiorowego wydania dzieł życiorysie.

Więc rozdźwięk dziki wypełniał dnie poety, od kolebki do mogiły. Nie nadawał się do społeczeństwa, w którem żył. Tam należało wysuwać szpony, bić dziobem spółzawodników, szerokiemi skrzydłami odpędzać ich od zdobyczy. Jego walka o byt płoszyła. I dusza onieśmielona uciekała niby sówka z placu targowego w ciemne skrytki dzwonnicy, chowała się w cieniach, mrużyła oczy, wlatywała w krainy ułudy, tajemniczości i fantazyi; na wymarzonych dopiero kołysząc się kwiatach zapominała o tem, co ją raniło.

Szkic Oli Hanssona zasługuje głównie z tego względu na uznanie, że autor zaznaczył w nim przeciwieństwo życia autora i środowiska. Wyjaśnia ono do pewnego stopnia charakter twórczości Poego. Jakkolwiek oddziałali na niego romantycy niemieccy, to jednak bez wątpienia Waszyngton Irving, Hawthorne i Cooper czytali Tiecka i Hoffmannna. Czemu żaden nie napisał *Ligei*, *Artura Gordona Pyma*, *Metzengersteina*? Czemu ów śmiał się wesoło, ten brodził przez puszcze indyjskie? Bo życie rozwinęło w Waszyngtonie humor, w Fenimorze tęsknotę do borów i przeszłości. Nigdy zapewne nie odpowiemy, skąd wzięły się elementy, które życie rozbudziło, lecz możemy i powinniśmy wyśledzić okresy ich rozwoju.

---

ją pyta, siostry wołają: pójdźmy razem — ale ona nie pójdzie; nie może. Chyba później — kiedyś, potem, gdy on przyjdzie do niej, gdy go odnajdzie przy sobie.

Dni takie długie, bezbarwne. Przychodzą chwile, w których chciałoby się krzyczeć, chciałoby się piersi własne rękami szarpać, głowę tarzać w prochu... I potem łzy płyną nieprzerwanym, niewyczerpanym potokiem i w piersi tak boli, tak boli.

Nie wie zgoła, ani co będzie robiła, ani jak nadal życie urządzi. Nie myśli o tem. Przyszła do jakiegoś kresu — ziemia nagle z pod nóg jej urwała się, runęła w jakąś przepaść i leci — pewno dna już nie dotknie. Czasem przemknie jej myśl: czy nigdy się nie zbudzi? Bo od owej okropnej, niepojętej chwili, kiedy z niej samej wydarto ją samą, chwilami zdaje się jej, że śni. Wypełnia wszystkie, codzienne przyzwyczajenia, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, ale jej myśl, jej dusza śpią, śniąc straszny, duszący sen — najstraszniejszy, bo niedgadniony.

Lecz przedewszystkiem zaprząta ją pytanie, dlaczego nie ma go przy sobie? Czekała ciągle — teraz zaczyna go szukać. Pewnej nocy przyszło jej na myśl, że może już jest, może nawet wcale jej nie odstępował, a tylko ona znaleźć go nie umie. Zapaliła światło, wstaje, narzuca szlafrok i wsunąwszy stopy w miękkie pantofle, wychodzi do salonu. Zatrzymała się na środku. Mdłe światło nocnej lampki rozkłada wielkie cienie po kątach i na suficie; liście palm ogromnemi plamami cienia załamały się na ścianie. Chwil kilka stała nasłuchując, wpół przerażona, wpół smutna, oczekując czegoś niezwykłego. Chłód przejął ją dreszczem — odeszła. W stołowym pokoju oczy jej zatrzymały się na starych portretach. Podniosła lampkę do ich wysokości i wpatrzyła się. Stare twarze spoglądały z poczerniałych płócien — spoglądały tak wyraziście, że mogłaby rozmawiać z niemi. Miała ochotę spytać: gdzie on jest? gdzieście mi go podzieli? A oto wśród szeregu ram jedno niewielkie miejsce puste. Nazajutrz „potem“ zdjęła portret i zawiesiła w jego gabinecie nad biurkiem. Musi go teraz zobaczyć, niezwłocznie, w tej chwili. Spiesznie, bez szelestu przechodzi jeszcze parę pokojów, przedpokój i otwiera drzwi gabinetu. Tak! portret jest na swojem miejscu, nizko nad biurkiem, jakby w głąb cofnięty w wielkim wieńcu z choiny i traw leśnych. Podniosła lampkę bliziutko i wpiła się chciwie oczyma. Wprawdzie nieco jest tu innym, niż go znała, znacznie młodszym, wszakże i w tych młodzieńczych, świeżych rysach łatwo odnaleźć twarz późniejszą. Te same oczy melancholijnie marzące, tenże półsmutny wyraz ust.

— Powiedz mi luby, jedyny — ty mój tylko jedyny na całym wszechświecie — gdzie jesteś? Dlaczego ja ciebie nie widzę, nie czuję przy sobie, choć tyle szukam? Wszakże mówiłeś: „będę przy tobie.“

Szeptała błagalnie; kolana jej się ugięły, postawiła lamkę na biurku, uklękła i ręce złożyła.

— Jakim chcesz, kiedy chcesz, przyjdź tylko do mnie. Wszakże ty widzisz — ja już nie mogę, nie mogę...

Głowa pochyliła się jej na złożone ręce. Blade, nizkie światełko lampki migotało po złotych zagubach jej włosów, półcieniem, półświatłem wydłużało wysmukłą postać i fałdy sukni płynące po kobiercu rozpostarte. Nad nią z pod cienia choiny melancholijne oczy portretu patrzyły rzewnie i usta chciały coś mówić.

(D. c. n.).

Niestety, na zaznaczeniu powyższego rozdźwięku, na sprowadzeniu wywoływanych przez Poego postaci, obdarzonych niezwykłą bystrością umysłu, do osobistej jego przenikliwości i talentu matematycznego, kończy się wszystko. co czynić by mogło z jego pracy głębsze studyum. Bo ani rozbieżności, dotkniętej na jednej stronie nie uwydatnia, ani obrazu Ameryki z początków naszego wieku nie daje. Związanie z epoką ogranicza się do słów, że twórczość Edgara Poe rośnie „w odblasku (?) niebieskiego kwiatka romantyzmu“ i że „romantycy wytwarzali wówczas atmosferę nad całym światem“ (?). Po śmiałem tem zapewnieniu wypadało bodaj nad Ameryką zawisającą ich powietrznię opisać.

Słabszą jeszcze jest część, gdzie Ola Hansson rozbiera charaktery rasy, przebijające się jakoby z pism Poego. Ponieważ praszczur jego pochodził z Francyi, a dziadek Irlandyi, Poe łączy w sobie „galijczyka jasną myśl, anglosasa władzę nad sobą i miarę, irlandczyka naiwną niedbałość (niedbałość w pismach i miara nie bardzo harmonizują) i germanina niewinno oczy dziecięce i dziecinną możność przyswajania sobie bezpośrednio życia“ (!). Czy istnieją rasy i czy są charaktery rasowe? Antropologia uznała określenie ich za prawie niemożliwe, zresztą słowo: *rasa* użyte zostało równie wadliwie przez Sainte-Beuve'a, jak przez Taine'a i uczniów. Mówią o rasie angielskiej, francuskiej, czeskiej, podczas gdy należałoby mówić o narodowości. Jak jednak przypuścić można nawet istnienie charakteru narodowego? Każdy naród składa się z warstw: arystokratycznej, mieszczańskiej, włościańskiej, urzędniczej, robotniczej, każda z warstw ma swoje dzieje, tradycyę i warunki ekonomiczne, wyciskające na niej piętno, ze krwi wszystkich płynie krew nietylko tuziemców, ale i przybyszów. Ta mieszanina zostawała i zostaje zawsze pod wpływem, lub w styczności z innemi, czy może więc posiadać cechę wspólną, ujawniającą się w przeciągu stuleci, bo tylko wtedy zasługuje na nazwę cechy.

Liryki i krytyk Edgara Poe dotyka pisarz szwedzki zlekka. Zaznacza muzykalność pierwszej, uniezależnianie sztuki od pożytku w drugich. Rozpatruje głównie nowelę.

Nowelę Edgar Poe uważał za utwór prozaiczny, najwięcej umożliwiający rozwinięcie poezyi. Poezya może oddziałać tylko wtedy, kiedy pije się ją jednym haustem. Skoro zaś czytelnik przerywa utwór, osłabia się wrażenie. Stąd poemat epiczny i powieść wyklucza on ze swej twórczości. Jedynie „Opowiadanie A. G. Pyma“ odznacza się większymi rozmiarami.

„Niema prawdziwego piękna bez pewnej dziwności w proporcyach,“ mówi kilkakrotnie Bacon. Zdanie to znajduje gorącego stronnika w Poem. „Sen nocy letniej“ Shakespeare'a przekłada on nad wszystko z okresu Elżbiety, „Undynę“ Fouquego nad „pięćdziesiąt Molierów.“

Między rzeczywistością i marzeniem granice zatarte. „Świat staje się snem, sen życiem.“ I utwory jego często objawiają najściślejsze połączenie obliczeń matematycznych z fantazyą nieokiełzaną. Artur Gordon Pym, podążając do bieguna południowego, Hans Pfaall do księżyca, Van Kempelen odkrywając sztukę wytwarzania złota, oparli się na obliczeniach najwytrawniejszych przyrodników. Bohaterzy „Złotego chrząszcza,“ „Czarodziejskiej wyspy,“ „Morderstwa na ulicy Morgue“ wykrywają morderstwa i tajemnice drogą rozumowania ściśle logicznego, mknącego ogniwo za ogniwem, jak części składowe łańcucha. Wyobraźnia zarazem maluje zetknięcie się ziemi z kometą, ludy osiadłe w pobliżu bieguna południowego, dziesiątki najwyszukańszych dziwów przyrody.

W przeczuciu genialnem Edgar Poe odtwarza galeryę typów chorobliwych, niezdrowych, wystudyowanych dopiero przez psychopatów spółczesnych. Kochanek odgrzebuje ciało kochanki, aby zabrać sobie jej zęby, białe jak kość słoniowa, wychowaniec zabija dobroczyncę, bo oko jego o wyrazie rybim ścina go w lód. Dwuosobowość występuje w Wiliamie Wilsonie.

Hypnotyzm i magnetyzm znajdują wyraz w „Wypadku pana Waldemara“ i „Odkryciach magnetycznych.“ Związek łączący dwoje kochanków trwa poza grobem. Kobiety mają w sobie coś tajemniczego, psychologia osób godna stanąć obok Goncourtowskiej.

Z niezwykłą siłą kreślona groza. Obawa wzrasta u niego do przerażającego, nadludzkiego strachu. Znajdziesz w utworach Poego cały szereg jej odcieni, niby rząd barw rozszczepionego promienia słonecznego. Rośnie powoli, czerni się najpierw, jak ciemny motyl rzucony na niebo, potem żegluje jak statek z żałobnymi żaglami, nareszcie powleka cały horyzont, zakrywa słońce i pada przez drżące okna długim słupem do wnętrza, wielka, bezbrzeżna...

Charakterystyka Garszyna o wiele słabsza. Nie przewyższa tułających się po pismach miesięcznych „studyów.“ „Praca“ o Bourgecie jest najoczywistszym artykułem dziennikarskim, powstałym z okazyi „Cosmopolis,“ „Böcklin“, prócz mdłego opisu trzech obrazów, przedstawiających niejako cykl życia, zawiera wiele gadaniny, jak „Materyalizm w literaturze“ z „Młodej Skandynawii.“

Historyczno-literacką wartość posiada streszczenie zapomnianej dziś, godnej jednak uwagi książki pisarza z czwartego dziesiątka bieżąc. wieku Maksa Stirnera. Autor „Jednostki i jej własności“ (Der Einzige und sein Eigenthum) umarł w r. 1856, żył w ubóstwie jako dziennikarz i nauczyciel szkoły dziewcząt, a nazwisko jego brzmiało Kasper Schmidt.

Jak pojedyncza jednostka — uczy Stirner — przebywa ludzkość cztery okresy: dziecięcy, młodzieńczy, dojrzały, starczy. Pierwszy ubiegł, drugi mija, brzask trzeciego. Czwarty daleko, nim Stirner nie zajmie się.

W okresie dziecięcym — pogańskim, człowiek starał się dotrzeć do dna rzeczy, badał stosunek przyrody zewnętrznej do siebie. Jako chrześcianin wstąpił w stan młodzieńczy, nie świat jął zgłębiać, lecz ducha. Minął i ten czas „idealistyczny“, a następuje egoizmu. Właściwie jaźni. Bo „egoizm“ ów objaśniony jest najpiękniejszem, co zawiera książka Stirnera. Jako socyolog, zasługuje Kasper Schmidt z podziałem swoim okresów historycznych na pogański i chrześciański, lub realistyczny i idealistyczny, chyba na luźną wzmiankę.

Zatem w wieku dojrzałości kolej przychodzi na siebie. Pierwszem staraniem człowieka powinien być on sam. Nikt nie ma prawa go krępować, nikt nawet możności bezwzględnej nie posiada. Bo każda jednostka włada skarbem: myślą, tej nikt jej nie odbierze. Chyba z życiem. Posiada ona grotę: umysł, gdzie nie dosięgnie jej ani oszczep tyrana, ani pocisk rozrastającego się burżuazyjno-tłumowego „społeczeństwa.“ Można tę grotę zniszczyć, zawalić, ścian jej nie przebić.

Więc osobnik jest wolny i z natury musi być wolnym. Ale dzięki usposobieniu towarzyskiemu, musi stykać się z innymi. Takimiż jak on. Niemożebnem byłoby życie, gdyby w stosunku do nich chciał zachować wszystkie swobody. Pamiętając też o godności swojej i ich, zawiera z nimi umowę. Z ustępstw wzajemnych usnuje się ustrój społeczny i cechować go będzie harmonia, gdzie dźwięki zabrzmią pełne i piękne, nie gniotąc się wzajem.

Określenie to ugodowego stosunku jednostki do innych tak jest charakterystycznem dla „Młodych Niemiec,“ tak wyraźnie wypowiedzianem, że trudno nie zdziwić się, widząc Hanssona, kładącego Stirnera i Nietschego na jednej płaszczyźnie. Nietsche wraca do ludzi przeszłości: Cezarów Borgiów, Bismarków, bandytów, Stirner wzlatuje ku społeczeństwu tak dalekiemu, tak dalekiemu, jak góry, z których tylko sine chmurki widzimy wijące się około szczytów. I on jest poprzednikiem tamtego!

Wśród krytyków żyjących Zachodu po Brandesie bez wątpienia pierwsze miejsce należy się Hanssonowi. Stoi on wyżej od francuskich Lemaitrów, France'ów, Doumiców, od włocha Campnany i holendra Van Ten Brinka. Posiada pewną niezależność umysłową, głębiej pojmuje twórczość pisarzy. Ale uwydatnione w kilku słowach braki dowodzą istnienia wielu plam mglistych na tej tarczy księżycowej. W „Młodej Skandynawii,“ dziele więcej entuzyazmu niż krytyki, mniej raziły oko. Teraz kiedy roślinność, która tam piła mgłę, znikła, zbiły się w większe płaty i mocniej szarzeją.

W. Bugiel.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Konwencya literacka. Niedawno Zola poruszył w *Tempsie* sprawę zawarcia umowy pomiędzy Francyą a Rosyą o wzajemnem zapewnieniu własności literackiej. Już przed laty kilku przedmiot ten był na porządku dziennym i wywołał nawet noty dyplomatyczne. Cała rzecz jednak zupełnie się rozchwiała. Zola twierdzi, że obecnie dojrzała ona już zupełnie i że prasa ruska powinna tę sprawę popierać w swoim własnym interesie. Projektodawca powołuje się głównie na zbliżenie francusko-ruskie. Z tego powodu *Nowosti* piszą: „Należy zwrócić uwagę, iż stosunki pomiędzy Belgią i Francyą zupełne są odmienne niżeli między Francyą i Rosyą. Belgijscy wydawcy używali tylko przedruku, w Rosyi zaś książki się nie przedrukowują lecz tłomaczą. Interesy autorów francuskich w Rosyi są zapewnione olbrzymim odbytem ich książek, gdyż większość inteligencyi ruskiej włada dobrze językiem francuskim i woli czytać w oryginale. Bez tłómaczeń, zwłaszcza dzieł naukowych, literatura obchodzić się nie może, nakładać zaś haracz na korzyść bogatych autorów francuskich w każdym razie byłoby przedwcześnie. Jeżeli mają oni za każdą przetłomaczoną pracę otrzymywać osobne wynagrodzenie z Rosyi, należy to samo zapewnić autorom i wydawcom ruskim we Francyi. Tu zaś o żadnej wzajemności nie może być mowy. Jeżeli teraz przy bezpłatnem tłómaczeniu książek ruskich we Francyi sprzedaż ich tam idzie bardzo słabo, przestaną one zupełnie wychodzić po zawarciu umowy.“

— W ciągu ubiegłego roku pisma czeskie zamieściły sporo przekładów polskich autorów (Konopnickiej, Sienkiewicza, Głowackiego, Z. Noskowskiego, Wilczyńskiego i in.).

— Na posiedzeniu komitetu nauki początkowej w Petersburgu p. Rubakin odczytał sprawozdanie o zmniejszeniu się czytelnictwa. Liczba książek drukowanych w Rosyi corocznie wynosi przeszło 20 milionów o 5 tysiącach tytułów; pism peryodycznych 900, siedem razy mniej niż w Niemczech. Na milion mieszkańców przypada wydawnictw peryodycznych: w Szwajcaryi 230, w Belgii 153, w Niemczech 129, we Francyi 114, w Norwegii 89, Wielkiej Brytanii 88, Hiszpanii 68, we Włoszech 51, Austryi 43, Grecyi 36, Serbii 26, w Rosyi 9. Zdaniem prelegenta, czytelnictwo w Rosyi utrudniają wysokie ceny książek tudzież brak księgarń.

Wsiemirnaja ilustracya z du. 9 grud. połowę numeru poświęca pamięci Matejki i nazywa go jednym z największych malarzy historycznych doby dzisiejszej. Prócz obszernego życiorysu, pismo zamieszcza reprodukcyę, własnego portretu nieboszczyka i rysunek, przedstawiający mszę żałobną w kościele św. Katarzyny w Petersburgu.

— *Album zabytków przedhistorycznych* w Muzeum poznańskiem zebranych, zawiera w pierwszym zeszy-

cie 20 tablic, przedstawiających kilkaset przedhistorycznych narzędzi, broni, ozdób bronzowych, glinianych i kamiennych.

— Z powodu występów Paderewskiego w Londynie, *Daily Telegraph* zamieszcza artykuł, pełen gorącego uznania dla naszego artysty. Między innemi zaznacza: „Powodzenie jego kompozytorskie wzrosło jeszcze, dzięki wykonaniu sześciu nowych pieśni lirycznych do słów Mickiewicza.“

— W Petersburgu wyszedł w tych dniach pierwszy zeszyt miesięcznika naukowo-literackiego p. t. *Nowoje Słowo* bez cenzury prewencyjnej. Wydawca p. Bataliu. Cena roczna 10 rs.

— Nakładem Pawlenkowa w Petersburgu będą wydane wkrótce *Ludy* L. Krzywickiego. P. Sacharowa przetłomaczyła *Emancypantkę* Prusa, która się ukaże w wydaniu oddzielnem. Wyszło z pod prasy w przekładzie ruskim p. Gorbaczewskiego studyum Ig. Dąbrowskiego p. t. *Śmierć*.

— Wyszło w Stuttgardzie nowe dzieło Krafft-Ebinga p. t. *Hypnotische Experimente*. W książce tej autor streszcza swoje doświadczenia hypnotyczne, czynione w ciągu ostatnich lat kilku.

— Towarzystwo włoskich folklorzystów zaczęło wydawać w Rzymie własny organ.

— W Lipsku wkrótce będzie wychodzić dwutygodnik p. t. *Zoologisches Zentralblatt* pod redakcyą prof. Bütschli z Heidelberga.

— Minister spraw wewnętrznych pozwolił na sprzedaż pojedyńczych numerów dziennika *Syn Otieczestwa*, wzbronioną we wrześniu r. b.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Zabawy. — Zagranicą w teatrze. — Ibsen, Björnson, Wagner.

Paryż się bawi! Tłum różnorodny ciśnie się do magazynów, zalega ulice i place miasta, napełnia sale widowisk i przedstawień teatralnych, nienasycony, żądny wrażeń, uciechy. Około Nowego Roku życie bije przyśpieszonem tętnem i miasto przedstawia inny widok, niż zazwyczaj. W blaskach słońca, gazu lub elektryczności tysiącem odcieni połyskują barwne wystawy sklepowe, świątecznie przystrojone, piękne kwiaty artystycznie ułożone, stosy zabawek dziecinnych, książki na gwiazdkę w ozdobnych oprawach i tysiące przedmiotów uznanych za niezbędne do istnienia ucywilizowanego człowieka naszych czasów. Sklepy wysilają się na przeróżne przynęty, aby zachęcić przechodnia do przekroczenia ich gościnnych progów; magazyn Luwru co roku urządza wspaniałą choinę na trzydzieści metrów wysoką, oświeconą elektrycznie, przepełnioną mnóstwem zabawek i świecidełek. Istny raj dla dzieci; chociaż w tym względzie pośród dorosłych znajdzie się wiele dzieci. Teatry wciąż przepełnione. W tym roku bowiem repertuar zapowiada się nader zajmująco. Może dlatego, iż francuzi otrząsają się powoli z przygnębiającego szowinizmu, w jakim dotychczas byli pogrążeni i uznawszy, iż w obcej literaturze i sztuce mogą być rzeczy piękne, warte widzenia i słyszenia, zaczynają coraz większymi względami darzyć dzieła sztuki, powstałe za obrębem ojczyzny. Czy przypisać ten zwrot modzie, czy też podniesieniu się gustu, trudno rozsądzić, bezwątpienia jednak moda odgrywa tu niepoślednią rolę. Nordomania na dobre zagnieździła się w Paryżu, objawia się zaś głównie w postaci anglomanii, tolstoizmu i norwegianizmu. Wszystko, co północne, ma powodzenie; rodzajem zimowego salonu wielkiego świata paryzkiego jest tak zwany *Pôle Nord*, gdzie cały dzień aż do dwunastej w nocy ślizgać się można na sztucznym lodzie; prócz tego szyk nakazuje obecnie sprowadzać z Londynu oraz posyłać do stolicy Anglii koszule do prania itd. Paryżanki zaś pozują na marzycielskie bohaterki dramatów skandynawskich, owiane mistycznym urokiem, marzące o nieokreślonych ideałach i miłości egzaltowanej. Jak w tej przybranej roli wygląda śmiesznie i niewłaściwie paryżanka — zastanawiać się nie będziemy! Wszak cechy te całkiem niezgodne są z jej charakterem, praktycznym i trzeźwym. Zanotować jednak wypada, iż gdy przed paru laty wystawiono na scenie paryzkiej Ibsena, mistrz północy nie został zrozumiany, ani oceniony według swej miary; dziś „Wróg ludu“ w teatrze Bouffes-du-Nord ściąga tłumy rozentuzyazmowanych widzów. Obfite oklaski zbiera doktór Stockman, bohater dramatu, rzucający pocisk na nasze społeczeństwa, oparte na obłudzie i kłamstwie; dopiero wówczas staną się wolne, gdy kierować się będą bezwzględną prawdą. Prawda ta jednak może być udziałem jedynie małej garstki ludzi stojących na najwyższych szczeblach rozwoju intelektualnego. „Każda prawda nie trwa dłużej, niż dwadzieścia lat — woła Ibsen ustami swego bohatera — później zamienia się na fałsz, ogół zaś pojmuje tylko dawne prawdy, kiedy przestały być niemi!“ Wspomnieć również należy o filozoficznej sztuce Björnsona „La Faillite,“ wystawionej w Théatre Libre. Filozofia północna na dobre aklimatyzuje się we Francyi.

Powoli też francuzi zaczynają oddawać sprawiedliwość niemieckim arcydziełom sztuki i smakować coraz więcej w niemieckiej muzyce. Przed dwoma laty jeszcze publiczność nadzwyczaj wrogo czuła się usposobioną dla Wagnera, a pierwsze przedstawienia „Tannhäusera“ były nader burzliwe; dziś w Wielkiej operze Tout-Paris zachwyca się „Walkyrią“ Wagnera, zaliczając niemieckiego mistrza do pierwszorzędnych geniuszów muzycznych i nikomu nie przychodzi nawet na myśl możliwość anti-wagnerowskich manifestacyj. W swych niedzielnych koncertach Lamoureux czaruje widzów mistrzowskiem wykonaniem utworów Wagnera, Liszta, Schumana, a w jednym z teatrów po raz pierwszy odśpiewano w całości *Fausta* Schumana, arcydzieło, odtwarzające tak wiernie myśl Goethego. Gdy u Gounoda pierwszorzędną rolę odgrywa miłość Fausta i Małgorzaty, tu spotykamy głębokie wniknięcie w filozoficzną i mistyczną stronę dramatu; widzimy przeciwstawienie niespokojnego, miotanego namiętnościami życia ziemskiego spokojowi wieczystemu pozagrobowego na tle religijnem. Niemniej poważnym i uroczystym od Wagnera i Schumana jest francuski mistrz Berlioz, którego „Damnation de Faust“ odegrano kilkakrotnie w teatrze Chatelet.

Od czasu wybuchu w Palais Bourbon codziennie prawie na ulicach znajdowane bywają podrzucone bomby i starannie odnoszone do komisaryatów policyjnych. Ale strach ma wielkie oczy. Panuje też w mieście niezwykła panika. Co prawda, w dzień zamachu teatry nie były mniej przepełnione, niż zazwyczaj i wogóle na życiu paryzkiem nie znać przygnębienia, ani smutku. Bomby tylko nie przestają niepokoić... prawdziwe czy fałszywe. Każde pudełko od konserwów lub też stare butelki, znajdowane na śmietnikach lub podwórzach, wzbudzają niezwykły przestrach i są przedmiotem osobnego śledztwa. Jakaś stara kobieta złożywszy na chwilę na oknie jakiegoś domu garnek z bielizną, musiała go szukać aż w komisaryacie, gdzie go odnieść kazała przestraszona odźwierna. Inna odźwierna wpada przerażona do komisaryatu, donosząc, iż jakiś pan o podejrzanym wyglądzie złożył na schodach domu beczkę, napełnioną niezawodnie dynamitem! Beczkę zabrano do policyi, skąd zatelegrafowano do miejskiego laboratoryum z prośbą o przysłanie specyalnego wozu. W kilka chwil potem zjawia się jakiś pan, prosząc o wydanie mu beczki, zawierającej... kwaszoną kapustę! I tym podobne śmieszne *qui pro quo*. Deputowani jednak nie na żarty są przerażeni, odbierają bowiem listy z pogróżkami rozmaitego rodzaju, nawet Juliusz Guesde, aczkolwiek socyalista, nie jest wolnym od tych pogróżek. Francya pod wrażaniem chwili chciała odnieść się do innych państw dla łącznego obmyślenia najlepszych środków walki z anarchizmem; po namyśle rząd zdecydował jednak, iż sam potrafi dać sobie radę w tej sprawie i zaniechał pierwotnego zamiaru. Dotychczas obrona polega na odstawieniu do granicy znacznej liczby anarchistów obcej narodowości, na licznych aresztowaniach i rewizyach, dokonywanych u osób podejrzanych, a przytem wydane będzie niezadługo nowe prawo o prasie.

J. Jot.

TRZEBA MIEĆ METODĘ.

„Dificile est satyram non scribere.“

Są u nas ludzie, mający niewzruszone przekonania i odwagę ich wypowiadania; są ludzie, których oburza wszelki fałsz lub niesprawiedliwość; są ludzie, którzy umiłowali wiedzę, który ją zdobywają, walcząc z przeciwnościami, z nędzą nawet nieraz; którzy zanim napiszą książkę, pracują sumiennie całe lata; którzy z surową samokrytyką ważą każde napisane zdanie, każdy wyraz; którzy gardzą wszelką blagą, arlekinadą, reklamą. A jakkolwiek byłoby niesprawiedliwością chcieć to wszystko „między bajki włożyć“, to jednak nie można nie twierdzić, że ludzie tacy są *pozbawieni metody*; a nawet jestem pewien, że w oczach człowieka *normalnego* muszą oni wyglądać wprost na aspirantów do honorowego obywatelstwa Tworków lub Kulparkowa.

Bo rzeczywiście, cóż zyska u nas jakiś Tworkowski lub Kulparkiewicz na takiej metodzie, albo raczej na takiej bezmetodyczności życiowej? Oto po wielu latach ciężkiej a sumiennej pracy, gdy włos się posrebrzy, wzrok osłabnie i siły opuszczą, wyczyta, co najwyżej, w którym z *kuryerów* taką np. wiadomość: „P. Kawałkiewicz młody, a głęboki autor „Słodkiego Paluszka“ i „Różowej Pętelki“ oraz p. Tworkowski (lub jemu podobny) wyjechali w dniu dzisiejszym z Syreniego grodu; pierwszy wysłany przez ruchliwą i zasłużoną redakcyę „Bawidełka Damskiego“ udaje się na studya estetyczne do Wenecyi, Rzymu i Neapolu; drugi — do Nowego Miasta dla poratowania nadwątlonego zdrowia.“

Dla zyskania zaszczytów i rozgłosu, dóbr materyalnych i moralnych nie koniecznie jednak trzeba być u nas Kawałkiewiczem, te znaczy „sympatycznym“ i „głębokim“ (nadewszystko głębokim!) autorem bluetek, nowelek, noweletek, noweletetek; nie koniecznie przez stosunki z wydawcami trzeba trzymać berło krytyki teatralnej, a stąd panowania nad aktorami, a nadewszystko nad aktorkami, które wywdzięczą się między innemi i tem, że za pomocą deklamacyi na koncertach, rautach itp. rozpowszechniać będą farsy Kawałkiewiczów; niekoniecznie tak samo trzymać należy berło krytyki malarskiej, przez co „głębokie“ oblicze Kawałkiewicza wyglądać będzie z każdej wystawy z za każdej szyby. Nie koniecznie trzeba palić mówki na jubileuszach, a szczególniej na pogrze-

bach osób znakomitych i pisać na ich cześć kantyczki, a to w celu, aby imię mówcy lub piewcy rozbrzmiewało tuż obok imienia znakomitego nieboszczyka, roztrąbione przez przyjaciół, reporterów po gazetach, rozlepione na plakatach, zapowiadających wydawnictwo dzieł pogrobowych. Nie koniecznie trzeba mieć dar podkadzania temu lub owemu z rzeczywiście poważnych krytyków w celu, aby płytkość nazwał „głębokością,“ banalność — „mistrzowstwem.“ Nie koniecznie trzeba w kronikach tygodniowych podnosić „rzeczy poczciwe“, to jest takie, które zciągają jaknajwięcej prenumeratorów i czynią przez to autora bożyszczem wydawców, „wytrawnym“ doradcą w każdem przedsiębiorstwie propinacyjno-literackiem, jako człowieka „z nosem.“ Nie koniecznie przed napisaniem „Pętolki“ trzeba się „długo nosić z myślą“ (o czem donoszą *kuryery*) a w powieści podnosić rozum i zalety tych, co najwięcej prenumerują „Bawidełka damskie,“ a jako głupców i nieponiów przedstawiać tych, co są zbyt umysłowo rozwinięci, aby podobne brednie czytywać. Nie koniecznie trzeba być badaczem buduarów i opiekunem sztuk pięknych (a choćby tylko ładnych), a zarazem słodko-moralnym autorem sielanek małżeńskich w biedzie i ciężkiej pracy, to znaczy — być hipokrytą lub idyotą socyologicznym. Wogóle niekoniecznie trzeba być maszynistą figur woskowych, kręcących się i mówiących automatycznie według starych szablonów. Nie koniecznie trzeba być fabrykantem i dostawcą literackiej wody słodkiej, pachnącej i różanej, która jednak w rzeczywistości jest wyciągiem ze zgniłych już trupów i zatruwa nie dość oświecone, nie dość krytyczne umysły itd. itd. Nie koniecznie powiadamy tem wszystkiem być i to robić trzeba (jakkolwiek to jest najlepsza metoda ze wszystkich znanych *), aby u nas zdobyć sławę, stanowisko i zaszczyty; owszem: można to osiągnąć, któż by to przypuścił, nawet na drodze naukowej!

Trzeba jednak i tutaj pamiętać zawsze o „metodzie“; jedna z tych metod naukowych jest podobna do tej, jakiej używa nauczyciel w komedyi „Pieszczoszek“ i zasadza się na tem, że naukę wykłada się społeczeństwu w śpiewie na nutę „Pięknej Heleny,“ ubrawszy się przytem samemu w trykoty i dzwonki.

Na metodę taką w nauce wpadały już dawno niektóre „głębsze“ umysły. Oto np. jaki typ uczonego opisuje p. Kramsztyk (*Szkice przyrodnicze*) w osobie Jana Ernesta Eljasza Besslera, który „jakby mu jeszcze za mało było tych imion“, przybrał piąte Orfyreusza; uczony ten wynalazł mianowicie *perpetuum mobile* (1715 r.) i ogłosił o tem światu całemu pod szumnym tytułem: „Triumphans Perpetuum mobile Orfyreanum.“ Wynalazkiem tym zachwycał królów, książąt, landgrafów a nawet urzędowych uczonych profesorów. Dopiero jakiś mało znany pisarz (naturalnie „niefachowy,“ „warchoł,“ „nieprzyzwoity,“ lubiący tylko „waśnie osobiste“ itp.) przedsięwziął ciężki trud dowiedzenia społeczeństwu, a co najtrudniejsza — „fachowcom,“ że to wszystko jest tylko blagą; a musiał na to zużyć wiele argumentów: „Po pierwsze — mówi on — Orfyreus jest głupiec (ten argument jeszcze nie wystarczał), po drugie niepodobna, aby głupiec mógł wynaleźć to, czego tylu mądrych ludzi napróżno poszukiwało, po trzecie nie wierzę w niemożliwości, po czwarte itd... Wszystkie jednak argumenty nie zdołały zachwiać sławy nabytej przez dobrą „metodę.“

*) Niech mnie czytelnik nie posądzi, że „metoda“ wyżej wyłożona jest produktem mej bujnej fantazyi, iż jest wysnuta *a priori*; bynajmniej, umysł mój jest w tym kierunku tak ograniczony, że nigdyby nie wpadł samodzielnie na odkrycie tak głębokich prawd życiowych, tego niejako nowego dekalogu, tej nieomylnej recepty na wielkość; wszystko to jest rezultatem moich długoletnich obserwacyi, zbiorem z automatyczną wiernością i pietyzmem spisywanych objawów, z którymi się spotykałem; powstało na drodze jaknajzupełniej empirycznej.

Ale porzućmy obczyznę oraz przeszłość i dla uilustrowania tej metody zwróćmy się znów do naszych stosunków, przypatrzmy się podobnie doskonałemu na polu naukowem typowi, jak Kawałkiewicz na polu literatury nadobnej. Oto naprzykład w jaki sposób sobie poczyna taki „metodolog,“ jak dajmy na to, bo „nomen est omen,“ doktór es sciences Letkiewicz de Blagieradzki. Przedewszystkiem, ażeby chwycić za serce rodaków (nie krzywdząc jednak bynajmniej siebie) dowiódł by on, że w jakichś górach krajowych w czasie epoki lodowej rosły gruszki na wierzbach i że jemu należy zaszczyt pierwszego odkrywcy ich śladów. Dobrze jest przytem na szczycie tych gór wypić ze wspaniałego puhara zdrowie krajowej płci pięknej, co w osobnej korespondencyi powinno być zaznaczone.

Rozpocząwszy w ten sposób swą karyerę, uczony nasz puszcza się na szersze przedsięwzięcia: wyjeżdża „za ocean“ i to jak wyjeżdża! trzeba bowiem umieć wyjeżdżać za ocean *metodycznie*. Wszakże za ocean wyjeżdża i taki Krzywicki, ale robi on to z idealnego popędu do wiedzy, do szerszych wszechludzkich horyzontów, robi to z ofiarą, z zaparciem się siebie; to nie jest metoda! Ale zobaczmy, jak to samo robi dr. Blagieradzki; przedewszystkiem oznajmia to całemu narodowi w osobnym telegramie zwróconym do zjazdów naukowych; telegram ten przechodzi za pomocą takiej rozumnej manipulacyi do wszystkich sprawozdań ze zjazdu, figuruje we wszystkich gazetach. Przytem „metodolog“ niewyjeżdża nigdy jako prosty żołnierz, lecz jako „wódz wyprawy naukowej.“ Co do miejsca „badań,“ zależy to naturalnie od okoliczności, na który kraj lub część świata jest zwrócona głównie w danej chwili uwaga ogółu; *ceteris paribus* jednak dobrze jest obrać sobie wyspy Oceanii, gdzie tak wdzięczne pole dla głębokich badań otwierało się zawsze od czasów Coocka podróżnikom, zwłaszcza młodym. Stamtąd trzeba palić telegramy i sypać korespondencye tej mniej więcej treści:

Dan w Honolulu roku pańskiego...

Z polecenia królowej Kama Kacha Liliuokalani zwiedzałem kraj w towarzystwie ministra robót publicznych i innych dostojników państwa sandwichskiego; w pięknie na moje przybycie przystrojonej willi spożywaliśmy wyborne śniadanie w dobranem i wesołem towarzystwie; perlącym się szampanem piliśmy zdrowie dwóch bratnich ludów polskiego i sandwichskiego oraz zdrowie pięknych cór Oceanii, które towarzyszyły nam w swych wdzięcznych narodowych strojach, składających się wyłącznie z kwiatów. Wtem jakby grom z pogodnego nieba uderzył nas telegram królowej, wzywający do powrotu z powodu rewolucyi w Honolulu. Zrywamy się natychmiast, oglądamy swe rewolwery; są jeszcze w dość dobrym stanie; nadobne twarzyczki ognistych cór południa żegnają nas ze smutkiem i trwogą, pędzimy jak wicher osobnym pociągiem dla nas przeznaczonym. Lotem błyskawicy przybywamy do Honolulu; na wieść o mojem przybyciu kupy warchołów umknęły, porządek został w zupełności przywrócony. Królowa dziękowała nam ze łzami w swych pięknych oczach i w nagrodę obdarzyła mnie najwyższym urzędem i orderem swego państwa.

Zaprowadziwszy porządek w Honolulu, powracam za kilku dni do Europy, aby nauką i zaszczytami zdobytemi za oceanem podzielić się z mymi kochanymi rodakami *).

Podpisano: Dr. es sciences Letkiewicz de Blagieradzki, wielki kanclerz królowej Kama Kacha Liliuohalani, kawaler orderu Wielkiego Rekina (na wstędze).

Dobrze też bywa w czasie takiej podróży spotkać gdzieś śród puszcz zwrotnikowych jakiego kolonistę z Psiej Wólki, który dotąd pija codzień wiernie swojską żubrówkę i co rok jeździ do spowiedzi o setki mil do księdza jak gołąb staruszka — też z Psiej Wólki.

To się nazywa u nas metoda a nie jakieś tam ślęczenie nad zdobyciem wiedzy przez długie lata i troszczenie się w pismach o to, aby każde napisane zdanie miało sens i było prawdą.

Nadaremnie jakiś, „niefachowy“ lubiący tylko „waśnie osobiste“ chciałby dowodzić, że nasz „młody i sympatyczny“ uczony nie mógł znaleźć śladów gruszek na wierzbie w epoce lodowej, albowiem: po pierwsze uczony nasz jest Orfyreus, po drugie gruszki nie mogą rosnąć na wierzbie, po trzecie wierzby nie mogą rosnąć na lodzie, po czwarte itd.

Nadaremnie ktoś chciałby wykazywać, że familiarność z ministrami honolulskiemi, piękne twarzyczki honolulek, oglądanie rewolwera, poskramianie rewolucyi itd. są to wszystko marne efekty, blaga najgrubszego gatunku, przypominająca bufonadę czwartoklasistów po powrocie z wakacyi.

Nadaremnie wreszcie dowodzilibyśmy, że takie bezustanne i wierne rznięcie żubrówki i tym podobnych swojskich trunków nie orzeka bynajmniej o żywotności etnicznej i jest na rękę tylko propinatorom rozmaitego gatunku.

Nadaremnie! — Nasz Orfyreus, dzięki swej dobrej „metodzie,“ pozostanie zawsze „naszym dzielnym uczonym.“ Co najwyżej, jeżeli po tych wszystkich dowodach przyjaciele i kondotjerzy zaczną przed tymi epitetami dodawać „bądź co bądź“; będzie on więc teraz „nasz bądź co bądź dzielny uczony.“ To klasyczne „bądź co bądź“ usuwa za jednym zamachem wszelkie argumenty, dowodzące najniezbiciej, że uczoność „naszego dzielnego“ jest tylko blagą. Żadne dowody, żadna siła ludzka nie jest w stanie zawrócić stada panurgowego, gdy już raz zostało popchnięte w pewnym kierunku.

(D. n.)

Wacław Nałkowski.

KASY I LICHWA.

Rok ubiegły zaznaczył się ruchem hamującym działalność lichwiarską i mnożącym wszelkiego rodzaju kasy. W projektach reform daje się spostrzegać dążność do jednolitości form

*) I to znów nie jest bynajmniej wytworem naszej fantazyi: jest to prawie dosłowne powtórzenie listu pewnej naszej wysokiej w danym kierunku powagi pisanego do „Czasu“ a powtórzonego jako rzecz znakomita przez „Kraj“ (zmieniliśmy tylko miejscowość). Wogóle cały nasz artykuł niech czytelnik uważa jako kompilatorski zbiór wskazówek „metodycznych“ poczerpniętych od najznakomitszych powag; jako pewnego rodzaju Vademecum dla chcących zostać u nas wielkimi. Że np, wyżej podana metoda wyjazdu za ocean i gruszek na wierzbie jest wyborna, to najlepszym dowodem jest karyera jej autora, który nie będąc w stanie nawet spolszczyć podręcznika szkolnego bez popełnienia mnóstwa błędów i sprzeczności, niemniej jednak osiągnął najwyższe zaszczyty i stanowiska naukowe. „Metoda“ więc jest w praktyce zupełnie wypróbowana.

owych instytucyi, szczególnie przy kolejach żelaznych. Zanim atoli pracownicy będą czerpać ztamtąd emeryturę i pożyczki na warunkach idealnie dogodnych, muszą tymczasem się posługiwać „dobroczyńcami,“ nieustraszonymi nawet wobec obostrzonego prawa. Zdaje się, że nie znaleźlibyśmy takiego przedsiębiorstwa pracodawczego, w którem przynajmniej połowa personelu nie byłaby zaprzedaną kredytowi lichwiarskiemu. Pewne pojęcie o tem masowem zadłużeniu daje fakt, niedawno przez *Słowo* ujawniony. Dyrektor „jednej z prywatnych kolei“ otrzymał od „znanego specyalisty,“ zamieszkałego na prowincyi podanie, z którego wyjątki cytujemy: „Wiadomo JW. Panu, że około 10% urzędników jego kolei zaciąga u mnie pożyczki pieniężne. Zazwyczaj około 10 grudnia otrzymywałem na rachunek procentów całą gratyfikacyę, jaka przyznaną była tym urzędnikom, a w tym roku przyjechałem dla podniesienia sum, tak na rachunek gratyfikacyi, jak i pensyi miesięcznej, a tu mnie powiadają, że z rozporządzenia JW. Pana wypłatę wstrzymano, a także jakoby wierzyciele nie mieli prawa kłaść aresztów na gratyfikacyi i że JW. Pan polecił aresztów nie przyjmować. Ja mam należności wekslowe przeszło na 100,000 rs. u urzędników kolei, a oni płacą procenty nieakuratnie przez co jestem narażony na trudności i dla tego proszę: 1) wydać rozporządzenie bezzwłocznej wypłaty gratyfikacyi i pensyi. 2) Polecić buchhalterom wydanie asygnacyi do kasy wprost na moje imię dla wszystkich urzędników, którzy mają areszty na pensyi wskutek mojego żądania. 3) Postanowić, aby urzędnikom, którzy u mnie zaciągają dług, nie były wydawane pożyczki z nowego funduszu, przeznaczonego dla urzędników. Zostaję w Warszawie i oczekiwać będę postanowienia, a także proszę o stały bilet bezpłatnej jazdy na rok przyszły.“ Śmielsi wyjaśnili, że „jedną z prywatnych kolei“ jest — Wiedeńska, a „znany specyalista“ — lichwiarz Bombel, stale zamieszkały w Skierniewicach. W podaniu tem zaznacza się cała jego bezczelność, potęga i rozmiary zadłużenia urzędników. Owe *sto tysięcy* zapewne urosły z procentów; ale śmiałe wystąpienie lichwiarza świadczy o jego zręczności ukrywania istotnego stanu rzeczy. Kto mu dowiedzie, że np. z 300 rs. wystawionych na wekslu, tylko 50 jest istotną pożyczką? Dłużnik się nie przyzna, bo chce mieć nadal łatwy kredyt. Jeżeli instytucye pracodawcze chcą przeciwdziałać operacyom lichwiarskim — niech do środków tej walki nie używają usuwania urzędników zadłużonych, a raczej zniosą przywilej wierzycieli — nakładanie aresztów na pensye. Będzie to także półśrodek, ale bliższy celu niż wszelkie inne, tembardziej, gdy chaotyczna obecnie organizacya kasowa stanie na trwałych jednolitych podstawach.

W niedalekiej przyszłości posłańcy warszawscy będą mieli także własną kasę. Jest to grupa ludzi najbardziej narażająca swe siły na wczesne starganie. Jaki żywioł na ten zawód się składa? Garść rozbitków różnorodnych, których ściągnęła do miasta nadzieja znalezienia dobrego zarobku, kandydaci do wszelkiej pracy, do żadnej atoli nie uzdolnieni. Bankruci moralni i materyalni, wyparci z lepszych stanowisk lub rzuceni przez zubożałych rodziców na pastwę losu, szukają w roznoszeniu listów ostatecznej deski zbawienia. Dotąd posłańcy dzielili się swym zarobkiem z przedsiębiorcami, którzy ich dopuścili do usług publicznych. Oczywiście wpływało to na znaczne uszczuplenie dochodów tej służby ulicznej; nie dziw więc, że się ona podejmuje pośrednictwa nie zawsze uczciwego, że handluje biletami teatralnymi i czasem zajmuje się brudnem stręczycielstwem. Otóż wkrótce ma nastąpić radykalna zmiana w ich położeniu. Instytucyą, upoważniającą do zarobkowania, będzie nie przedsiębiorstwo prywatne, lecz zarząd miasta, za którego staraniem przy biurze kontroli służących powstanie kantor posłańców publicznych. Po potrąceniu kosztów utrzymania, czysty zysk, stanowiący dotychczas dochód przedsiębiorców, będzie składany w kantorze Banku państwa, jako fundusz kasy zabezpieczenia dla owych pracowników. Zyska więc na tem ich strona moralna i materyalna, a także i publiczność miejska przez właściwsze, niż obecnie, rozmieszczenie posłańców. Zdarza się bowiem, że stoją oni tam, gdzie ich nikt nie żąda, a natomiast brak ich w miejscach dość ruchliwych.

W ostatnich czasach mnożą się kasy pocztowe, zorganizowane dopiero od lat paru. Mają one na celu uprzystępnianie składania drobnych kwot przez warstwy najuboższe. W całem państwie ruskiem kas takich (wraz z celnemi) jest dziś 2,322, cyfra w stosunku do obszarów i ludności niewielka, ale dość okazała ze względu na krótki okres istnienia owych instytucyj. Jeszcze okazalsza jest suma wkładów, wynosząca ogółem prawie trzysta milionów rubli. Podobno jednak kasy te nie odpowiadają całkowicie pierwotnemu przeznaczeniu, tj. nie służą dla warstw najuboższych, lecz dla grupy mniejszych przemysłowców i kupców. Niektórzy szukają przyczyny tego w wadliwej organizacyi. Zdaje się jednak, iż bliżej i wyraźniej tkwi inne zjawisko, poprostu ta okoliczność, że owe warstwy najuboższe, jako *najuboższe*, nie mają z czego oszczędzać. Nie pomoże tu nawet zachęta, czerpana z przykładów zagranicznych. Kasy oszczędności we Francyi liczyły, co prawda, roku 1892-go około jedenastu milionów franków, powstałych z drobnych oszczędności, ale to tylko dowodzi, że tam ogólna zamożność wszystkich warstw jest wyższa, z wyjątkiem naturalnie tych wydziedziczonych przez warunki społeczne, którzy nie codzień mają na kawałek suchego chleba. Zapewne, nie sztuka jest odkładać, gdy się ma z czego, ale za to sztuką byłoby magiczną oszczędzanie z minusów. To też przyznając wielkie znaczenie tej cnocie, musimy zarazem uznać warunkowość jej istnienia. W ostatnich czasach ministeryum skarbu zwróciło uwagę na kasy oszczędności, jako źródło państwowych pożyczek wewnętrznych. Tym sposobem instytucye owe, gdy się jeszcze rozwiną i pomnożą, mogą odegrać dość ważną rolę dla państwa. Zresztą miałyby one także znaczenie, jako źródło drobnego kredytu.

Drogomir.

LIBERUM VETO.

O tej nieszczęsnej Eusapii.

Onego czasu, kiedy jeszcze należałem do „władz“ prasy warszawskiej, którym meldują się rozmaici przyjezdni biedacy, pragnący coś tu zarobić, innemi słowy — kiedy redagowałem pismo codzienne, przyszedł do mnie pewien magik niższej klasy. Chcąc okazać swą zręczność, położył mi na dłoni miedzianą dziesiątkę, kazał palce zamknąć i uderzyć ręką o szklankę, w którą dziesiątka wpadła. Kilkakrotnie powtarzał tę sztukę, ja czyniłem wszelkie wysiłki, ażeby przeniknąć, jakim sposobem wykrada dziesiątkę z mojej ręki — daremnie. Odtąd wypędziłem z moich marzeń ambicyę zdemaskowania jakiegokolwiek kuglarza. Gdy zaś potem widziałem lub słyszałem, że magicy przy pełnem świetle sali publicznej, stojąc śród widzów, wyjmują z cudzej kieszeni królika, a ze swojej trzy pełne wazy zapalonego ponczu lub sześć spodków napełnionych wodą, stanowczo uznałem, że jest to „nowy dział zjawisk,“ polegający na „mediumizmie“ pewnych osobników, zdolnych do takiej zręczności, o jakiej zwykli ludzie nie mają pojęcia i jakiej nie nauczy żadna teorya. Jednocześnie przekonałem się, co warte są nasze zmysły i dostrzegane przez nie „fakty,“ rozstrzygające wszelki spór naukowy w „ostatniej instancyi.“ Wiadomo, że przeciwnicy spirytyzmu oświadczyli kiedyś, iż uwierzyliby w jego cuda, gdyby jakiś ścisły badacz potwierdził je w szeregu doświadczeń laboratoryjnych. Zajął się tem słynny przyrodnik Crookes, który po kilku latach prób z medyami orzekł w sprawozdaniu do Akademii londyńskiej, że ich produkcye rzeczywiście nie dają się wytłomaczyć naukowo i nie zawierają w sobie kuglarstwa. Był to może w dziejach spirytyzmu najważniejszy wyrok, który rozstrzygnął sprawę w zupełności na jego korzyść — formalnie. Wybraliście za sędziego Crookesa — Crookes potwierdził, czegóż jeszcze więcej chcecie? Powiedziałem: formalnie, gdyż przedmiotowo proces nie przestał ciągnąć się dalej, wszczynany ustawicznie przez niedowiarków, którzy nietylko zaprotestowali przeciwko orzeczeniu Crookesa, ale nadto wyrazili zdziwienie nad jego naiwnością. Prostoduszny, łatwowierny badacz, który przez całe życie miał do czynienia tylko z ciałami chemicznemi, nigdy nieoszukującemi, bo rtęć, chlor, azot nie kłamią — chciał zdemaskować najprzebieglejszą z przebiegłych istot — medyum! Był to rzeczywiście zamiar wytropienia lisa nosem... ludzkim. Ale spirytyści, pomimo odkrycia ich złudzeń i oszustw, nie porzucili swej roli apostołów nowej nauki, cierpiących za „prawdę,“ której zaślepienie nie uznawało. Powoływali się oni i powołują na miliony współwyznawców, na uczestnictwo w ich wierze takich mistrzów wiedzy, jak Zöllner i Wallace, a przedewszystkiem na mnóstwo faktów, stwierdzonych przez osoby wiarogodne. Przeciwstawione im rozumowania logiczne odpierali śmiechem. „Kto pragnie — mówili — dowieść pewnego faktu zapomocą rozumowania oderwanego lub spekulacyi, postępuje tak, jak gdyby zapomocą algebry lub metafizyki usiłował dowieść, że Juliusz Cezar założył cesarstwo rzymskie.“ A owe fakty „niewątpliwe“ nie były bagatelkami. Tu medium unosiło się w powietrzu, tam kładło obecnym na dłoniach rozżarzone węgle, nie wywołując sparzenia, tam podskakiwały ciężkie stoły, tam grały same harmonijki i fortepiany, tam duchy rzucały kwiaty „ze świeżą rosą,“ które zasuszono, tam odbijały się na fotografiach, niewidzialne dla nikogo, tylko dla płyty przyrządu, tam bombardowały w stary dom kamieniami, których „żadna siła ludzka unieść by nie mogła,“ a już „lewitacye“ lżejszych przedmiotów były czemś tak zwyczajnem, że wtajemniczonych wcale nie dziwiły. O prawdziwości tych „faktów“ tak daleco spirytyści nie wątpią, że nawet „cuda“ Davenporta i wielu innych, chociaż należycie wyświetlone, zapisane zostały do olbrzymiej listy „dowodów“ bez zastrzeżeń. Wszystko tym szczęśliwym ludziom idzie gładko, nie dostrzegają oni nigdzie tajemnicy lub zagadki. A gdy jednego z nich — skądinąd poważnego myśliciela — zaczęło niepokoić pytanie: czemu duchy, które w rozwoju świata idą „o krok naprzód“ przed ludźmi, są tak głupie w swych produkcyach i słowach — odpowiedział sobie bardzo prosto: jeżeli śród ludzi znaczna większość jest głupców, to taki sam stosunek musi zachodzić między duchami.

Liczbę słynnych mediów pomnożyła w ostatnich czasach żona maszynisty teatralnego, Eusapia Paladino. Cudotwórcza jej moc tak zaciekawiła kilku uczonych, że

zebrawszy się w Medyolanie, poddali ją próbom, po których wprawdzie nie przemienili się z Szawłów na Pawłów, ale też nie wykryli żadnego kuglarstwa, chociaż ich zastanawiała stale wydymająca się spódnica Eusapii przy pewnych doświadczeniach. Naturalnie główny krzewiciel wszystkich tajemniczych *izmów*, p. Ochorowicz, nie mógł pozostać obojętnym na to świeże objawienie się mediumizmu i pośpieszył „po nowe prawdy“ do Rzymu, gdzie w mieszkaniu p. Siemiradzkiego zebrał korzec faktów i spostrzeżeń, które ugotowawszy w swej teoryi, wlał w misy *Kuryera warsz.* i *Tygodnika ilustr.* dla nakarmienia nas prostaków strawą nieznanej a życiodawczej mądrości. Dla tem skuteczniejszego stwierdzenia „nowych prawd,“ podał nietylko opisy, ale nadto fotografie posiedzeń i odciski w glinie rąk i twarzy „Johna.“

Już przed kilkunastu laty niejaki Bray usiłował wytłomaczyć zjawiska spirytystyczne zapomocą teoryi, według której są one tworami „emanacyi wszystkich mózgów“ obecnych, przyczem medium tylko „potęguje jej natężenie.“ „Bezwiedna atmosfera myślowa“ pewnego koła sprawia, że wyobrażenia o ręce stają się widzialną i namacalną ręką, która pisze, podnosi stoły, gra na instrumentach itp. Teoryę tę z niewielkiemi zmianami i dopełnieniami wyłożył nam p. O. tak wymownie i przekonywająco, że kto nie chciał otrzymać tytułu ślepca i zacofanego nieuka, musiał uwierzyć i w cudotwórczą siłę Eusapii, i w realne (podczas posiedzeń) istnienie „Johna,“ który wykonywa dziwy, i w inne rzeczy, o których—jak powtarzano tryumfalnie — nie śniło się filozofom. Gdy więc zawiązało się towarzystwo akcyjne, które za składkową sumę sprowadziło do Warszawy p. Paladino, leżeliśmy twarzami ku ziemi na gruzach wiedzy, olśnieni błyskawicą i powaleni piorunem „nowych prawd.“ Ażeby z grzesznych ust nie wyszła bluźniercza para przeciwko objawieniu, wezwano do kontroli ludzi najrozmaitszych: lekarzów, przyrodników, literatów, prawników, poetów itd. Pomimo że zaprzysiężono tajemnicę posiedzeń aż do ukończenia ich, codzień prawie grzmiały w kilku dziennikach fanfary, ogłaszające zdumiewający tryumf Eusapii. Miała ona wychodzić zwycięzko z najsilniejszych i najuciążliwszych prób, a najzatwardzialszych niedowiarków przemieniała w bałwochwalców. Doniesienia reporterskie poparte zostały pełnemi podziwu i natchnienia oświadczeniami pisarzów poważnych. P. Prus w pięciu artykułach potwierdził cuda Eusapii, p. I. Matuszewski wydał na jej cześć taki manifest, że wątpiącym pozostawało tylko albo bezwzględnie w nią uwierzyć, albo z rozpaczy nad niemożnością pojęcia prawd wyższych powiesić się. Większość poszła pierwszą drogą, mniejszość zaczęła oswajać się z myślą o samobójstwie. To nie przesada. Wyobraźcie sobie ludzi ukształconych, którym potężne uderzenie rozbija w proch cały gmach wiedzy, którzy jednak rozstać się z nią nie mogą i którym rozum nie pozwala uznać „nowych prawd,“ podczas gdy ich apostołowie krzyczą ze wszech stron: to są oczywiste fakty, fakty, fakty, panowie ślepcy!

Śród tego gwałtownego przełomu pojęć, śród uroczystego nastroju, tak uroczystego, że gdy *Wiek* napiętnował eusapizm mianem oszustwa, przeraził strwożonych zuchwałością znieważania „nowej potęgi,“ która strasznie pomścić się mogła, śród ciszy jednego z największych zdarzeń w dziejach nauki, przeleciał między osłupiałymi świadkami narodzin nowej ery cichy szept, że dr. Heryng dostrzegł... nogę Eusapii, zręcznie wysuniętą kontrolerowi i manipulującą w ciemności dla zdziałania cudu, że zauważył również wymykanie się ręki itd. Zapytany o to, odpowiedział nam: część kuglarstwa przeniknąłem i odtworzyłem, a prawdopodobnie jest niem również całość sztuk Eusapii. Tymczasem z chmur, otaczających kolebkę „nowej siły,“ wychylił się drugi nielitościwy jej pogromca. Znany i dzielny przyrodnik, niegdyś redaktor *Przyrody i przemysłu*, który pierwszy do nas przeszczepił teoryę Darwina, B. Rajchman, wystąpił w *Kuryerze warsz.*. z szeregiem odkryć poprostu okropnych, które jednocześnie wywołują w nas spazmatyczny śmiech i piekący wstyd. Bo nigdy chyba kraj nasz nie oglądał tak komicznego i gorszącego widowiska, ażeby jedna prosta baba okpiwała przez kilka tygodni areopag uczonych mężów, którzy z jej dość ordynarnych sztuk wydobywali dla ludzkości „nowe prawdy.“ Rajchman, jako przyrodnik i jako mechanik, kierujący specyalnym zakładem, posiadający wprawę eksperymentatora i znajomość tajemnic oraz złudzeń zmysłowych, miał rzeczywiście tę przewagę nad innymi, że przystąpił do oceny „nowych zjawisk“ z obszernem doświadczeniem, nauką i praktyką. Nadto umiał on się oprzeć suggestyi regulatorów posiedzeń, którzy kazali mu widzieć objawy siły nerwowej tam, gdzie należało patrzeć na nie ze stanowiska mechaniki i fizyki. Dzięki temu, pomimo utrudnień w obserwacyi i kontroli ze strony tych, którzy bądź okazywali dziecięcą naiwność, bądź usiłowali „ratować sytuacyę,“ zdołał on wykryć: że mniemana kontrola obecnych jest biernem wykonywaniem woli kuglarki; że owe warunki, jakoby niezbędne dla ujawnienia się „nowej siły,“ były warunkami umożliwiającymi Eusapii oszustwo; że przy innych, rzeczywiście ją krępujących, nic zrobić nie mogła, że odurzając udanymi napadami kontrolerów, wysuwała swoje ręce i nogi, któremi manewrowała według woli; że dając w ciemności do trzymania jednemu łokieć a drugiemu dłoń ręki, lub też naciskając jednemu nogę obcasem a drugiemu palcami, lub podsuwając jednemu stopę a drugiemu tylko bucik (który zawsze przy doświadczeniach miała rozpięty z guzików), z każdej swojej nogi i ręki czyniła niejako dwie; że dla przyciągnięcia bardziej oddalonych przedmiotów przysuwała się do nich wraz z kontrolerami, czego oni wzruszeni obecnością „Johna“ wcale nie spostrzegali itd. Ciekawi sposobów objawiania się „nowej siły,“ niech odczytają sobie artykuły Rajchmana, których tu powtarzać nie mogę. Ponieważ wszystkie te sztuki, oddawna znane w spirytyzmie, są czemś arcypierwotnem i niedołężnem wobec wyjmowania z kieszeni waz napełnionych ponczem lub królików, więc chyba tylko atmosferą wiary w cudowność, która zaraża najtrzeźwiejsze umysły, wytłomaczyć sobie można złapanie się na ordynarny lep kilkunastu ukształconych ludzi, którzy z pobożnem wzruszeniem przyjmowali te drwiny kuglarki z ich zdrowego rozsądku. I w jakimże celu miałaby ona nas oszukiwać — pytano naiwnie — kiedy przecież ze swych przedstawień nie osiąga wielkich zysków. Gdyby była kuglarką, dawałaby publiczne widowiska, któreby jej przynosiły znaczny dochód. Niewinne dusze zapomniały tylko o dwu rzeczach: 1) że widowisk publicznych nie można urządzać ani w mroku, ani w ciemności, gdyż tylko najbliższe otoczenie medium mogłoby je oglądać, a 2) że kilkaset rubli i podróż do nieznanego kraju — to dla żony biednego maszynisty teatralnego wcale niezły interes.

Każdy z czytelników moich wie, jakiem powinno być badanie rzeczywiście naukowe. W niem nie ma miejsca dla pobłażania i grzeczności względem damy, którą umiejętne związanie rąk i nóg zbyt utrudni, skrupulatna rewizya — zażenuje, a nieufność — obrazi, tam każdy protest powinien być wysłuchany, każde żądanie powiększenia ścisłości — uwzględnione. Jeżeli fizyolog otwiera klatkę piersiową żywemu psu, nikt go nie oskarża o barbarzyństwo i brutalstwo; a jeżeli ktoś zechce możliwie ograniczyć swobodę kuglarki, to „znęca się nad nią,“ jest „barbarzyńcą i brutalem“? Gdy Koch ogłosił swój środek przeciwgruźliczy, pomimo powagi badacza, pomimo zapewnień, że go należycie wypróbował, wzięto się „brutalnie“ do sprawdzań i w ciągu paru miesięcy wykazano, że się omylił. Spirytyzm, mediumizm zaś wyślizguje się jak piskorz niewygodnym probierzom, zezwala na wszelkie warunki, żądane przez medya, a dość gdy kuglarka powie, że obecni „sprzeciwiają się“ myślowo i stanowią „corrente contrario,“ ażeby on uznał to za słuszną przyczynę braku objawów. Najmizerniejsze ze świadectw — świadectwo zmysłów opatrzył szczególnym przywilejem nieomylności. Chce on koniecznie utrwalić w nauce stanowisko astronomów przedkopernikowych, na którem rzec wolno: wszystkie rachunki nic nas nie obchodzą, skoro *widzimy*, że słońce się przesuwa ze wschodu na zachód. Zechcesz wyjąć kij, wetknięty w wodę, w której wydaje się złamany, wstrzymają ci rękę: to zbyteczna nieufność! A skoro go wyciągniesz i pokażesz że cały i prosty, odeprą: to kij inny, tamten po naruszeniu jego „warunków“ zniknął.

Gdyby chemik przedstawił dziesięć wytworzonych przez siebie nowych związków i gdyby się okazało, że jeden z nich jest oszustwem, to chociażby tajemnica innych pozostała niezbadaną, wszystkie uznalibyśmy również za oszustwo. Jeżeli tedy $^9/_{10}$ objawów „nowej siły“ Eusapii okazało się kuglarstwem, to czyż mamy $^1/_{10}$ uważać za „nową prawdę“? A gdzież rękojmia, że sekret tej cząstki nie tkwi w zręczności, która wymknęła się najczujniejszej uwadze? Daremnie by więc mediumiści, pragnący „uratować sytuacyę,“ mężnie stanęli w obronie tej cząstki cudów niezdemaskowanych, dla nauki tego rodzaju niezdemaskowane sztuki nie mają żadnej wartości, ona musi ze swej dziedziny wymieść wszelkie kuglarskie śmiecie, a jeżeli w t. zw. medyach istotnie dostrzega jakieś nowe i ciekawe zjawiska, nie wybierze do doświadczeń Eusapii, nie zapewni jej „przyjaznych warunków“ i nie załatwi sprawy na improwizowanych „seansach.“

O ile owa Eusapia jest dla nas bezczelną kuglarką, o tyle nie mamy dotychczas prawa obarczać zarzutem wspólnictwa z nią i złej wiary łatwowiernych uczestników posiedzeń, którzy wcale nie odezwali się publicznie i być może, jak na rzetelnych ludzi przystało, odmówią swej protekcyi szwindlowi i zrozumieją obowiązek oszczędzania słabemu umysłowo społeczeństwu szkodliwych wpływów, rozszerzanych z pozorami nauki.

Jako publicysta, nieraz musiałem zajmować się sprawami błahemi, których konieczność strzeżenia dobra publicznego nie pozwalała omijać. Ani razu wszakże w ciągu mojej służby dziennikarskiej nie zdarzyło mi się zmarnować tyle pracy i myśli na farsę tak głupią. Jest to jedna z tych przykrych chwil, w których czujemy, do jak marnego pielnika czasem zaprzęga nas obowiązek.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Zarząd międzynarodowego Towarzystwa Bella uznał za rzecz konieczną wprowadzenie na stacyi centralnej nowego systemu stołów komunikacyjnych. Wpłynie to na zmniejszenie omyłek w połączeniach tudzież na przyśpieszenie tych ostatnich. — W tych dniach rozpoczę-

ły się powtórnie egzaminy z języka ruskiego i polskiego majstrów fabrycznych w Łodzi i jej powiecie. Obowiązkowi temu podlegają wszyscy, którzy w roku zeszłym wykazali niedostateczną umiejętność, oraz ci, którym czas wyuczenia się języków przedłużono do 1 stycznia r. b. W razie nieuczynienia zadość ponownym wymaganiom egzaminu, majstrowie i oficyaliści obowiązani są opuścić swoje stanowiska z d. 37 marca 1895 r. — Zmarła A. D. Seefeldowa poczyniła następujące zapisy: rs. 400 na korzyść miejscowego chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności, rs. 300 na budowę w Łodzi przytułku dla obłąkanych, rs. 500 na budowę przytułku dla sierot wyznania ewangielickiego, rs. 1,000 na korzyść ochrony dla dzieci ewangelickich. Oprócz tego dużo ofiar przeznaczyła dla kościołów.

Okręg górniczy. Oczekiwane jest zniżenie taryfy od przewozu węgla kamiennego z Dąbrowy do głębi Rosyi, głównie do zakładów hutniczych w Kamieńsku nad Donem, gdzie przed paru tygodniami zawieszono działanie fabryk żelaza z braku paliwa. Ulga powyższa dla przemysłowców będzie złotym interesem, dla spożywców zaś w Królestwie — ciężarem. — Eksploatacya kopalni olkuskich szybko się rozwija. Dzięki nowym robotom, między innemi budowie tunelu od sztolni ponikowskiej do pilickiej, rozpocznie się wkrótce prawidłowo wydobywanie cynku, galmanu, tudzież, jak przypuszczają — srebra, o którem tradycya pozostała. Przy odbudowie sztolni znaleziono narzędzia górnicze z XIII wieku. Na wiosnę będą przedsięwzięte roboty około osuszenia zalanej kopalni cynku w pobliżu Będzina. Jednocześnie powstanie nowa huta na „Redenie.“ Przemysł górniczy w okolicy Szydłowca coraz bardziej się rozwija. Od chwili, gdy sztygarzy z Dąbrowy znaleźli tam pole do pracy, kamieniarze zarabiają po 2 rs. dziennie. Oprócz eksploatacyi kamieni, działa tam fabryka garnków żelaznych, mają powodzenie również kopalnie rudy żelaznej, w których pracuje około 200 robotników. Zakłady te wysyłają 240 tysięcy centnarów rocznie do huty w Klimkiewiczach. — W Zawierciu robotnicy stworzyli własną orkiestrę, popisującą się publicznie.

Pińsk. Główne warsztaty kolei Poleskich, zatrudniające około 2,000 robotników i wpływające na znaczne ożywienie miasta, będą, jak się dowiaduje *Kuryer warsz.*, jeszcze bardziej rozszerzone, a liczba robotników — podwojona. Otrzymają one przeznaczenie głównych warsztatów kolei skarbowych w całem państwie i rządowego zapasu taboru kolejowego. W Pińsku będą budowane wszelkich typów wagony towarowe i osobowe, z wyjątkiem parowozów, które nadal będą nabywane w zakładach prywatnych. Warsztaty zajmą się także naprawą lub przerabianiem wagonów. Rozszerzenie tego ogniska pracy ściągnie z różnych stron liczne rzesze robotników. Już dziś przybywa ich mnóstwo z Brańska, Wilna i Moskwy. Z Warszawy przyjechało także sporo tokarzy żelaza i lakierników.

Moskwa. Na ostatniem posiedzeniu rady lekarskiej uniwersytetu miejscowego zostali zatwierdzeni w stopniu prowizora: Jan Chrystowski, Wacław Doberski (z odznaczeniem), Edmund Maro, Cezar Taniewski (z odzn.) i Benedykt Undrewicz. — Dnia 19 grudnia odbyło się tu nabożeństwo żałobne za Jana Matejkę w kościele św. Piotra i Pawła. Księża całą tę uroczystość urządzili z przepychem i bezinteresownie.— Zmarł tu Tichonrawow, ceniony profesor, który w uniwersytecie miejscowym wykładał historyę literatur słowiańskich. — W chwili obecnej Moskwa posiada mnóstwo wystaw obrazów. Między innemi powszechną uwagę zwracają, oprócz stałych, cztery: Ajwazowski wystawił kilkanaście nowych tworów, a dochód z ich oglądania przeznaczył dla wdów i sierot po marynarzach „Rusałki.“

Mińsk. Miasto zaniepokojone jest krążącemi uporczywie pogłoskami o przeniesieniu zarządu i kontroli kolei Libawsko-Romeńskiej do Wilna lub Warszawy. Ubyłoby w ten sposób około 2,000 inteligencyi urzędniczej, jednocześnie ucierpiałby ogromnie handel miejscowy. — Mieszkańcy skarżą się na brak przytułku dla podrzutków. Istnieje tylko niewielki oddział przy zakładzie dla starców, lecz nie odpowiada on nawet w skromnej cząstce istotnym potrzebom. Dotychczas losem niemowląt zajmował się przeważnie urząd opieki powszechnej, który rozdawał dzieci włościanom okolicznym na wychowanie i płacił im za to po 2 rs. miesięcznie aż do 12 roku życia. Obecnie miejscowe Towarzystwo dobroczynności („Rodzina chrześciańska“) zamiast udzielania wsparcia na powiększenie liczby mamek, myśli o założeniu osobnej instytucyi. — Doroczny bazar przedświąteczny, urządzony na cele dobroczynne, powiódł się świetnie, może dzięki licznemu zjazdowi ziemian, którzy pośpieszyli na ogólne zebranie miejscowego Towarzystwa rolniczego. Trzeba przyznać, że bywają oni dość hojni, gdy się znajdą w rojowisku ludzkiem i wpadną w wir jego zabaw. To też twórcy wszelkich mamideł dobroczynnych starają się zawsze wyzyskać chwile stosowne.

SPRAWY EKONOMICZNE

DWA SYNDYKATY.

Aż dwie grupy najpotężniejszych w całem państwie przemysłowców urządziło zamach w końcu ubiegłego roku na kieszenie spożywców: cukrownicy i właściciele zakładów naftowych. „Ciężko nam, coraz gorzej; ceny ciągle spadają, straty dochodzą do milionów, kolej Zakaukazka wysoką taryfą nas gnębi, produkt amerykański zabija!“ Tak płaczą wytwórcy nafty, usiłujący od lat paru stworzyć syndykat. Byłby już on doszedł do skutku, ale niezgoda wewnętrzna, która zerwała umowę przed samem podpisaniem — oszczędziła na pewien czas kieszenie spożywców. Na schyłku roku interesowani zebrali się w stolicy, ażeby doprowadzić do skutku niedoszły poprzednio zamiar, ale, dla odpędzenia strachu, już nie pod groźną nazwą „syndykatu“, lecz— „zjednoczenia“, które z czasem ma wejść w układy z wytwórcami amerykańskimi dla rozgraniczenia rynków europejskich. Wniknijmy w istotę rzeczy. W lamentach nafciarzy więcej jest łez udanych niż faktów przekonywających o ich smutnem położeniu. Pod wpływem wysokich ceł ochronnych, przemysł naftowy pociąga ku sobie wielkie masy przedsiębiorców, z których większość nie posiada ani odpowiednich kapitałów, ani uzdolnień fachowych, słowem — najważniejszych środków dla umiejętnej organizacyi wytwarzania i zbytu. Skutkiem tego po prostu produkcya bezcelowa niezmiernie się rozwinęła. Przed laty trzynastu (r. 1880) wytwórczość stanowiła 25 milionów pudów, do r. zaś 1892 rozmiary jej dosięgły 300 milionów. Gdybyż z wzrostem produkcyi szły również udoskonalenia techniczne, wpływające na dobroć i taniość towaru! Gdzie tam! Przetwarzanie materyałów surowych dotychczas stoi na bardzo nizkim pierwotnym poziomie. Czwarta część produktu przy fabrykacyi ulega zupełnemu zniszczeniu, następnie około 40% odchodzi na odpadki, używane jako opał. Najlepszego zaś gatunku, zdatnego do oświetlenia, fabrykanci otrzymują zaledwie 25%. Wogóle 300 milionów pudów nafty surowej daje zaledwie 75 milionów cieczy zdatnej do lamp. Z tego około 25 mil. pudów spożywają rynki wewnętrzne, reszta — idzie na wywóz za granicę. Z tych ogólnych danych łatwo ocenić, ile sił, kosztów i materyału taka produkcya pochłania bezowocnie i jak to dalece wpływa na wzrost cen, o wiele przewyższających istotną wartość towaru.

Przemysłowcy, starający się usilnie o stworzenie syndykatu, pod nazwą mniej krzyczącą, powołują się na świetne rezultaty amerykańskiego *Standard oil Trust*. Ależ to olbrzymie przedsiębiorstwo zbiorowe za oceanem korzystało z zupełnie odmiennych warunków i na innych podstawach osnuło swoje działanie, niżeli to zamierzają uczynić producenci ruscy. Całą zaletą wytwórców amerykańskich jest — wnikanie w potrzeby ogółu i możliwie najzupełniejsze ich zaspokojenie. Nie zapominajmy, że stowarzyszenie antypodów posiadało własne drogi podjazdowe: naftociągi, rozpostarte na szerokich przestrzeniach, olbrzymie składy i zbiorniki na wszystkich rynkach; własną flotę do przewozu towaru, niewyczerpany zasób funduszów i środków technicznych, wpływających na ciągłe zniżanie kosztów wytwarzania i tem samem taniość towaru, idącą w stosunku odwrotnym do wzrostu jego dobroci. Dzięki temu, nafta amerykańska zalewa dziś rynki całego świata. Z potęgą tamtejszych przedsiębiorców nikt się mierzyć nie mógł, nawet tak niespożyty kolos kapitalistyczny, jak Rotschild. Pomimo to, wytwórcy ruscy mają nadzieję zawrzeć przymierze z amerykańskimi i stać się panami rynków zagranicznych. Ale jakichże oni środków szukają dla zbudowania swej potęgi? Dążeniem ich jest stworzyć towarzystwo akcyjne z ograniczoną liczbą udziałów, czyli — silnie zamkniętą rogatkę dla nowych przedsiębiorców. Po za tem interesowani starali o ochronę rządową, która nadałaby im możność działania monopolowego; mianowicie — chcieli wyjednać zniżenie taryfy na rządowej kolei Zakaukazkiej, ale w taki sposób, że z tej ulgi nie mieliby prawa korzystać przemysłowcy, stojący po za syndykatem. Z innych środków proponowanych przez grupę przemysłowców naftowych, zasługują na uwagę następujące: Ściśle baczyć, ażeby nafta, wytwarzana w Baku, była jednakowego gatunku, mogącego swą wartością zdobyć dobrą sławę w całej Europie. Wytwarzanie niższych gatunków powinno być całkiem zabronione i tamowane w wywozie. Należy urządzić naftociąg z Baku do Batumu, co byłoby jednym z potężnych warunków, ułatwiających tanią i racyonalną produkcyę na wzór amerykańskiej. Kolej żelazna, posiadająca odpowiedni tabor, użyłaby go do przewozu niższych gatunków produktów naftowych. Fracht za przewóz towaru z Baku do Batumu, albo za przeładowanie, należałoby zmniejszyć do 6 — 7 kopiejek od puda. Cło od towarów drzewnych trzeba jeżeli nie znieść zupełnie, to przynajmniej o wiele zniżyć. Dalej: trzeba zmniejszyć znacznie grzywny za uchybienia w terminach wyładowywania nafty z wagonów-cystern. Wogóle myślą przewodnią interesowanych jest: stworzenie związku dla unormowania wywozu produktów naftowych za granicę, zabezpieczenie sprzedaży tego towaru na jednakowych warunkach dla wszystkich wytwórców i możliwe zmniejszenie wydatków przy eksporcie i sprzedaży. Kierunek wszystkiemi sprawami należy do ogólnego komitetu, wybranego przez przedstawicieli związku. Wszelkie zaś czynności wykonawcze — do agentury handlowej. Co do układu z amerykanami, przypuścić tylko można, że wytwórcy zaoceanowi zrobiliby ustępstwo w zaniechaniu niektórych rynków na rzecz przemysłowców ruskich, gdyż o wspólnem prowadzeniu interesu niema mowy, ze względu na znaczne różnice w gatunkach i produkcyi nafty. W takim razie główna dążność producentów, zgromadzonych na zjeździe w Petersburgu, da się sformułować w następujących zasadniczych dążeniach: Chcą oni wyjednać ulgi u rządu w przewozie koleją i w przepisach, krępu-

jących działalność przedsiębiorców pozostałych na uboczu. Pragną korzystać z rynków zagranicznych na podstawie monopolu; czyli zasadnicze ich pragnienia zmierzają do zmonopolizowania produkcyi i handlu, na czem, oczywiście ucierpiałyby miliony spożywców.

Wytwórcy naftowi na zjeździe niniejszym udali się pod opiekę rządu, który chętnie udzielił mu posłuchania i zajął się rozpatrzeniem całego stanu rzeczy. Ale sfery rządzące dobrze rozumieją ukryte zamiary wytwórców i o tyle uwzględnią ich żądania, o ile one będą w zgodzie z interesami mas konsumentów. Ministeryum zwróciło główną uwagę przedewszystkiem na uregulowanie wywozu nafty za granicę, zatem na środek tymczasowy, jako szczegół ze zjawisk najdotkliwiej odczuwanych przez wytwórców. Co do samej wewnętrznej strony handlu i produkcyi, dotychczas nic stanowczego nie wypowiedziano, bo i niepodobna tego żądać, zanim przemysłowcy nie okażą zaradności, zgodnej z ogólnymi postępami techniki. Zamiast domagać się opieki, wykluczającej jednych, a faworyzującej drugich, wytwórcy nafty, chętnie powołujący się na powodzenie przemysłowców amerykańskich, powinni rdzeń produkcyi zreformować. A więc: niech poczynią wielkie ulepszenia techniczne, zniżające do minimum koszt produkcyi, wykształcą szeregi specyalistów, niech wprowadzą środki, zniżające bez ulg rządowych koszt transportu, tj. naftociągi, składy i flotę osobną, na wzór amerykańskiej; niech się nie podejmują przedsiębiorstw, przekraczających ich środki materyalne, wreszcie niech się liczą z ogólnymi warunkami rynków, o których nie zawsze mają dziś jasne pojęcie. Tylko w taki sposób naśladowanie wytwórców amerykańskich może być korzystne dla przedsiębiorców i spożywców. Uwzględnianie interesów tych ostatnich jest zasadniczą tajemnicą powodzenia związkowych przedsiębiorstw amerykańskich. To zaś uwzględnianie oparte na podstawach czysto materyalnych: ciągłem zniżaniu kosztów wytwarzania i handlu — przez wiedzę specyalną i płynące z niej udoskonalenia techniczne.

Zanim syndykat nafciarzy wejdzie w wykonanie, dużo im krwi napsują rozterki wewnętrzne, wynikłe z niektórych szczegółów umowy, układanej w Petersburgu.

Podobna niezgoda zapanowała również śród cukrowników, którzy się podzielili na trzy obozy. Do pierwszego z p. Bobryńskim na czele, należą przemysłowcy gubernij południowo-zachodnich i Królestwa Polskiego, tudzież niektórzy z za Dniepru. Żądają oni odświeżenia umowy, której zasadą ma być wypuszczanie na rynki wewnętrzne określonej z góry ilości produktu w stosunku do przewidywanych rozmiarów zapotrzebowania. Ilość przekraczającą normę (z wyjątkiem dwumilionowego zapasu) należy wywozić za granicę. Druga partya z p. Charytonienko na czele (gub. charkowska) nie chce uznać powyższych zasad umowy. Wreszcie trzecia (przywódca p. Szczerbatow z gub. charkowskiej) wprost utrzymuje, że syndykat jest zupełnie zbytecznym. Rozdźwięki te wszakże nie wpłyną na osłabienie umowy, tem bardziej, że dawni stowarzyszeni uzyskali sporo nowych zwolenników. Martwić ich będzie tylko to, że nie staną zbyt prędko u celu, tj. nie połączą jednym węzłem wszystkich bez wyjątku wytwórców w całem państwie. W każdym razie działanie związku poczują miliony spożywców, a niejeden z nich w kraju szczerze pozazdrości... nierogaciznie angielskiej, która zjada cukier wytwórców tutejszych, bardzo drogi u nas, lecz bajecznie tani za granicą. Ale skoro taki stan rzeczy trwa już od dawna i zachęca cukrowników dalej do wywozu znacznego nadmiaru na zachód, musi to być interes niezły — obdzierać swoich, a zasypywać obcych produktem za pół darmo. Zdarzało mi się widywać ubogich ludzi, pijących herbatę z miodem (tam, gdzie jest przystępny). Dlaczego nie z cukrem?— spytałem. — To nie na naszą kieszeń! Cukier tylko dla magnatów! — odpowiadali na to. Znane są również dość powszechne fakty pijania herbaty przez warstwy ubogie zupełnie bez cukru albo też „z przygryzką,“ tj. w sposób, który pozwala z niewielkim kawałeczkiem wypić pięć lub sześć szklanek. Stąd można wyprowadzić bardzo logiczny wniosek, że gdyby ogół ludności w państwie ruskiem mógł tak tanio nabywać cukier miejscowy, jak go nabywają spożywcy zagraniczni, zniknęłaby „prykuska,“ picie herbaty gorzkiej i z miodem, tj. że wytwórcy zyskaliby nowych odbiorców, może nawet liczniejszych, niż dostarcza obecnie zagranica.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Łowy za rogatkami. Garść przekupniów warszawskich, żydów, stworzyła organizacyę, mającą na celu napełnianie własnej kieszeni kosztem wytwórców wiejskich i spożywców miejskich: Ścigani przez władzę na rynkach, wynieśli się za rogatki i tam w dnie targowe czatują na furmanki, zdążające z wszelkiego rodzaju produktami. Natarczywość ich, z jaką się rzucają na wozy, graniczy z rabunkiem. Nabywszy hurtownie towar bardzo tanio, sprzedają go nastepnie w mieście bardzo drogo. Chłop zaś lub kolonista, zadowolony z łatwej sprzedaży, wraca do domu. W ten sposób spekulanci oprócz drobnych produktów użytku codziennego, zmonopolizowali w ostatnich czasach handel cielętami. Dla podniesienia cen, po nabyciu u bram miasta, przechowywali żywy towar aż do chwili, gdy poszukiwanie wzmożone sprawiło swój skutek. Zazwyczaj jedna szajka odkupuje cielęta za rogatkami i sprzedaje drugiej na targach, ta zaś na warunkach cen wysokich wchodzi w układy z rzeźnikami. Ci więc ostatni mają produkt z czwartej ręki, spożywca zaś—z piątej. W tem tkwi cała tajemnica ogromnego podrożenia cielęciny w ostatnich czasach. Na przyszłość atoli spekulanci będą skrępowani, dzięki nowemu rozporządzeniu p. oberpolicmajstra, nakazującemu przedsięwziąć policyi energiczne środki, aby cielęta nie były skupowane przed dowiezieniem ich na targ, oraz aby na samym rynku handel był prowadzony swobodnie. Winni będą pociągani do odpowiedzialności sądowej.

— W ministeryum spraw wewnętrznych złożono ustawę „Towarzystwa popierania rozwoju uprawy roślin lekarskich.“ (Dzienniki petersb.).

— Na mocy umowy, zawartej pomiędzy towarzystwami kolei Wiedeńskiej, Dąbrowskiej, Łódzkiej, Nadwiślańskiej, Władykaukazkiej i zarządem dróg skarbowych (Terespolska) tudzież towarzystwami żeglugi na m. Kaspijskiem, ustanowiono od 13 b. m bezpośrednią komunikacyę towarową przez Pietrowsk do portu Uzun-Ada i odwrotnie.

— Kolej Terespolska codziennie przesyła na Wiedeńską przeszło po 60,000 pudów zboża, pochodzącego z magazynów i elewatorów południowych. Droga Wiedeńska wysyła za granicę przeszło 300 wagonów dziennie tego produktu. Linia ta jest obowiązaną przyjmować codzień z kolei szerokotorowych po 500 wagonów, lecz trudności techniczne stają temu na przeszkodzie.

— W Brześciu litewskim wkrótce wzniesiony będzie kosztem skarbu elewator, głównie dla zboża rolników okolicznych tudzież dowożonego z gub. kijowskiej i wołyńskiej. Jednocześnie kosztem kolei Terespolskiej powstanie elewator w Chełmie dla gub. lubelskiej.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ogólne zgromadzenie komitetu oświaty ludowej postanowiło otworzyć r. b. sto bezpłatnych czytelni ludowych za pośrednictwem ziemstw kosztem 25,000 rs. Na ten cel ze swoich funduszów komitet przeznaczył 2000 rs.

— P. Łund, brandmajster 2-go oddziału straży ogniowej w Warszawie wynalazł przyrząd do ratowania ludzi i rzeczy z wyższych piętr domów palących się. Za praktyczność pomysłu p. oberpolicmajster wyznaczył wynalazcy 300 rs. nagrody.

— Pozwolono otworzyć w Suwałkach Towarzystwo lekarskie, którego ustawę ogłoszono jeszcze w r. 1889.

— Zwrócono uwagę na potrzebę ograniczenia liczby uczniów aptekarskich — żydów do 5% ogólnej liczby.

Szkoły. Poruszono myśl otworzenia wyższych szkół farmacyi w Rosyi na wzór francuskiej *L'Ecole Pharmacie*; program ułożyć według wzorów szwedzkich, gdzie wykształcenie farmaceutyczne stoi najwyżej względnie do całej Europy.

— W Petersburskim Instytucie inżenierów komunikacyi p. Jankowski bronił rozprawy na temat „Maszyny parowe binarne i zastosowanie do nich etylu chlorowego“. Po świetnej obronie, kandydat otrzymał adjunkturę przy katedrze mechaniki stosowanej w powyższym instytucie.

— Egzamin dodatkowy z języka ruskiego w uniwersytecie jurjewskim obowiązani są złożyć studenci, którzy ukończyli gimnazyum w Rydze za czasów, gdy wykład w nich prowadzono po niemiecku, tudzież — byli wychowańcy gimnazyów zagranicznych.

Sprawy kolejowe. Zawarto umowę pomiędzy kol. Wiedeńską a liniami pruskiemi dla wprowadzenia wagonów sypialnych z Warszawy do Berlina przez Aleksandrów.

Zdrowie publiczne. W osadzie Kowalu i mieście Błoniu (gub. warszawska) jeszcze cholera nie wygasła.

— Na przedstawienie nadwornego lekarza, Justyna Karlickiego, sułtan turecki przedsięwziął środki zwalczania cholery. Między innemi zasługują na uwagę: urządzenie szpitala o 1000 łóżkach dla pielgrzymów w Mecce; w Medynie — na 200 łożek. Lazarety dla pielgrzymów, przybywających z Indyj i Jawy będą pomnożone. Podczas „Ramazanu“ w Mecce 12 lekarzy i 6 aptekarzy będzie czuwać nad zdrowiem tłumów. Na powyższe środki sułtan wyznaczył 30,000 funtów. Zwierzchnim kierownikiem tych zarządzeń będzie dr. Karliński.

Sądy. Izba sądowa charkowska w sprawie o nadużyciu w banku miejskim krzemieńszczuckim, skazała dyrektorów tej instytucyi: Kiktienkę, Czernysza i Mojsiejenkę, po pozbawieniu wszelkich szczególnych praw i przywilejów, na mieszkanie w gub. ołonieckiej. Roszczenia cywilne w sumie 60,000 będą zaspokojone z majątków oskarżonych.

— Według doniesień *Kijewlanina*, w r. b. powiększona będzie liczba podprokuratorów w sądach okręgowych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. P. Jak sama nazwa wskazuje — pożywienie roślinne, do czego jeszcze niektórzy dodają odzież wełnianą. Mleko i masło zwykle bywa tolerowane. Chodzi im o względy zdrowia.

Panu W. W. Jest to przewinienie natury czysto moralnej, niekarane przez prawo, tylko przez sąd ludzi uczciwych. Kodeks nie karze fałszerstwa cytat, lecz jedynie fałszerstwo dokumentów w celach korzyści materyalnej.

Dr. I. Szp. Sprawę tę rozjaśniliśmy w granicach daleko szerszych, niż notatka Pańska.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Декабря 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.